

222653/4

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

WYDAWNICTWA I KOMISA
KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA WE LWOWIE

	Zł.
Chłędowski K. Dwie wizyty w Anglii	4—
Grzegorzewski J. Podróżnicy polscy na Wschodzie	1-50
Klobukowski St. Wycieczka do Parany (Stanu Rzeczypospolitej Brazylii) Dziennik podróży	4—
Lityński M. Sycylja (Szkice z podróży)	1—
Mniszek A. Jarząbek (Monografia myśliwska)	3—
Niemcewicz J. U. Dziennik drugiej podróży do Ameryki	1-60
Ostaszewski-Barański. Z dorzecza Wełtawy	2—
— Z krainy stu wysp	2—
— Z Morawskiej ziemi	2—
— Z nad Drawy, Sawy i Soczy	2—
— Z nadreńskich stron	2—
Samarytanin w nagłych wypadkach przed przyby- ciem lekarza	3—
Spausta W. Na tropach. Obrazki przyrodniczo-ło- wieckie. Tur i żubr. Koń dziki. Śuhak. So- bol. Rosomak. Bóbr. Łoś. Ryś. Świstak. Dzik. Łabędź. Głuszec	12—
Tatomir L. Ferje alpejskie, wspomnienia miejsc i ludzi	2-60
Weysenhoff J. Gromada. Powieść	6—
— Soból i panna. Cykl myśliwski, ozdobiony 85 barwnymi i czarnymi rysunkami Henryka Weysenhoffa. Oprawne wydanie luksusowe	80—
Wodzicki hr. K. Zapiski ornitologiczne. VIII. Sko- wronek	2-40

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE

VII

KRUK

19

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

1927

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE



598.2.

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE

VII



93699

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA
1927



222653/7

Przedruk z „Przeglądu Polskiego”, Kraków 1869

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0134990

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYKA I SPÓŁKI.

W/247/02p 264712

25,-

«Zapiski ornitologiczne» Kazimierza hr. Wodzickiego, były pierwotnie drukowane w miesięcznym dodatku do *Czasu* (Bocian, Jaskółka, w latach 1857—1859), następnie w *Przeglądzie Polskim* (Wróbel, Kruk, Kukułka, Jastrząb, w latach 1868—1875). Niektóre z nich pojawiły się zarazem jako osobne broszury już to w postaci przedruku (Wróbel), już to odbitek (Kruk, Kukułka, Jastrząb). Później wszystkie częściowo przerobione i uzupełnione przez autora, zaczęły wychodzić w nowym t. zw. drugim wydaniu, w postaci książeczek, znaczonych kolejno rzymską liczbą porządkową, z dodatkiem Kuropatwy, Skowronka i Orłów Polskich. W szeregu tym dziewięciu «Zapisków» Kruk miał otrzymać liczbę VII. Nie został jednak wydrukowany. Że zaś dawna jego odbitka z *Przeglądu Polskiego* stała się niezmiernie rzadką, a zresztą ma odmienny format, przeto niniejsze wydanie, dokonane za zezwoleniem rodziny ś. p. Autora, przynosi pożądane uzupełnienie biblioteki «Zapisków ornitologicznych».

Dla kompletu wypadłoby jeszcze wydać monografię o Słonce, drukowaną w *Łowcu* w r. 1886.

Witold Ziembicki.

Cras, cras, vox corvina

I

Czarny z połyskiem stalowym, zielonym, fioletowym lub rdzawym, podług uderzającego nań światła, samica i młode, bez odmiany równe upierzenie mają.

Dziób silny, prosty, nieco kabłąkowaty, ostry w końcu i na krawędziach, spiżowej twardości, nozdrza i wierzch dzioba do $\frac{1}{3}$ twardem włosiem nakryte, mierzy niemal cal wysokości a długości trzy cale.

Ogon zaokrąglony, klinowaty, nakryty spoczywającymi skrzydłami. Szerokość ptaka 46 do 56 cali, długość od 20tu do 26ciu, samica w tym samym wieku bywa nieco mniejsza.

Pierze twarde, ściśle przylegające, mchem czerniawym gęsto podbite, pod zimę szczególniej tworzy gatunek futerka; to jego ciepłe odzienie sprawia, że krukowi zimno nigdy nie dokucza i pozwala mu gnieździć się w porze nader jeszcze zimnej.

Wątpliwości nie podpada, że kruk ze znanych nam ptaków najdłużej żyje; różnice rozmiarów przypisać należy różnicom wieku; z każdym rokiem roz-

miary się powiększają, ptak grubiej i rozrasta się do tego stopnia, że jednoroczny do starego ptaka, innym wydaje się być gatunkiem.

Obuwie silne, łuskowate, z niebezpiecznymi pazurami.

Barwa istnej żałoby, posunięta do tej jednolitości, że nogi, dziób, tęcze ocz, paszcza i język czarne.

Ptak w lśniącym chałacie, obraz śmierci i pogrzebu, towarzysz ścierwa, opiekun zniszczenia, czyściciel świata, ponury zawsze, samotny, żyjący w parze małżeńskiej lub w kole rodziny, stroniący od innych mieszkańców powietrznych, uosobienie przekleństwa i nieszczęścia, barwą i krakaniem smutkiem każdego napełnia.

Rozumem jest małpą w ptasim rodzie, drapieżnością i żarłocznością istnym wilkiem. Jego dowcip, pamięć, bystrość, ostrożność, a w potrzebie odwaga, przebiegłość i rozważa, jakoteż inne podziwienią godne zdolności, nie były nigdy dosyć badane, nigdy dostatecznie opisane. Pomimo wstrętu, który wzbudza, pomimo smutnego wrażenia, jakie jego widok sprawia, jego życie i zwyczaje nader ciekawe do badania. Zna niebezpieczeństwo i w jednej chwili go oceni; w jednych miejscowościach poufały, wśród wieśniaczych domów, na kupach gnoju, po dachach spokojnie dnie spędza; w innych ostrożny do najwyższego stopnia, nawet przesadnie trwożliwy. Gdy człowiek nadchodzi, wzrokiem go obejmuje, oceni i do swej definicji kroki zastosuje. Nieraz szuka pożywienia na publicznych drogach, licznym furom ledwie że ustępuje, przed nadjeż-

dżającym surdudem zawczasu ulatuje, nawet w oddaleniu wzroku ludzkiego nie znosi i unika. Gdy odleci i siądzie, zaraz patrzy z wytężeniem co nadjeżdżający robi, a gdy oczy na siebie zwrócone spostrzeże, wynosi się i to kilkakrotnie powtarza, do chwili, w której się zupełnie bezpiecznym uczuje. Strzelbę zna doskonale, również odległość, którą nabój przebieść może, rzadko kiedy da się zjechać i to wtedy, gdy żarłoczność weźmie górę nad ostrożnością. Za pługami chodzi jak gawron lub wrona, przegrzebuje gnój wśród rozrzucającej go czeladzi, gdy zaś tylko obcy człowiek nadchodzi, w tej chwili ulatuje i obserwuje. Na drzewach, stertach, skałach i urwiskach siada w ten sposób, że okiem okrąży cały widnokrąg, najmniejsza zmiana nie ujdzie jego uwadze. Do tego słyszy doskonale, ozdobiony więc bystrością wzroku, niepospolitą wonią i dobrym słuchem, przy swym rozumie urąga z niebezpieczeństwa.

Lotki twarde i silne ułatwiają lot, gdy wytęży skrzydła pruje szybko powietrze, które przeciskając się przez końcówki piór, dziwny świst wydaje; zazwyczaj leci wolno i poważnie, wtórując krakaniem, chętnie w powietrzu staje jak ptak drapieżny, kołysze się, wpatrując się w ziemię bystrym swym wzrokiem, z najwyższej wysokości upatrzy myszkę i najdrobniejszy owad. Wtedy staje, zakolysze skrzydłami i wolnymi zwrotami siada opodal i podskakuje ku swej ofierze.

Zmysł woni (wiatr) ma nadzwyczajny, skacząc powoli czuje pod ziemią będące żuki i robaki, wpy-

chając jak gawron długi swój dziób w całej długości, wydobywa pożywienie. Na oko niezgrabny i powolny w swych ruchach, w rzeczywistości nader szybki, skoki znaczne robi i biegnie tak sporym krokiem, że dogonić go trudno.

Trafnie te ptaki nazwano *omnivores*, — żarłoczne, wszystko jedzą, żywe i zdechłe ssaki, ścierwo, ptaki wszelkiego rodzaju, myszy, szczury, żuki i tychże larwy, wszelkie robaki, ryby i moluski, nasiona, zboże i jagody; szkodnik ten, zamiłowany w jajecznicach surowych, w czasie lęgu skrzętnie wyszukuje gniazda większych ptaków, spędza je siłą z jaj i jedno po drugim wypija. Szczególniej na błotach i wierchowinach stawów i jezior w ten sposób znaczne zrządza szkody. Gdy większa część piskląt wykłuta, oblatuje gniazda i jedno po drugim unosi i pożera. W tym wypadku przypomina złodzieja ulicznego, za którym wszyscy biegają i krzyczą: łapcie złodzieja, a który, to samo wywołując, w najlepsze ucieka; tak i za krukiem ptactwo goni, żałośnie piszcząc, on szybko ucieka, uprosić ani zastraszyć się nie dając. Wojuje tak dzióbem jak szponami, co lżejsze dzióbem unosi, cięższe żyjątka pazurami chwytą, gdy zaś ofiara nad siły a bezpieczeństwo uznane, wtedy dzióbem i szponami targa i częściami w lot porywa.

Drapieżność kruka wielka, np. w oczach człowieka o kilkaset kroków złowi kurę, kaczkę lub zającą, w jednej minucie zdobycz poszarpaną, wnętrzności

z niej wyjęte i z częścią ofiary już leci w bezpieczne schronienie.

Niepospolite ma skalpele do operacyj anatomicznych, dziób z ostreми krawędziami kraje bez wysilenia jak nożem lub piłą i ucina, nogi silnie zdobycz przytrzymują, szpony do rwania pomagają.

Dziwnie patryjarchalny w pożyciu małżeńskim, naśladowania godnej wierności, dzieli trudy i kłopoty samicy, z poświęceniem znosi żywność; również przykładny ojciec, w porze wychowania piskląt nawet parę godzin w południe na jajach siedzi. W tej porze podwaja się jego wytrwałość, zręczność, a zuchwalstwo naraża go nawet na niebezpieczeństwo.

Wychowawszy już pisklęta wtedy, gdy inne ptaki ledwie zamyślają stać gniazda, zniesienia drugiego nigdy już nie powtarza, oddany wyłącznie wychowaniu dzieci, aby je wykierować na zdolnych i zręcznych kruków. Rok cały żyje w parze małżeńskiej, gdzie jeden kruk, pewnie opodal drugi będzie. Dopóki dzieci pomocy rodziców potrzebują, trzymają się razem, gdy zaś wyuczone i wychowane, rozpędzają młodzież, wszakże do przyszłej wiosny trzymają się okolicy i w tej bliskości, że na każde zawołanie rodziców dzieci się do uczty jawią. Wie kruk zawsze gdzie krukowa, rodzice znowu wiedzą o pobycie krucząt.

Gdy jedno z rodziny odkryje smaczny kąsek objętości znaczniejszej niż apetyt jednego ptaka, wtedy podleci w górę i zakraka. Gdy odpowiedzi nie otrzyma, podlatuje dalej, powtarzając wabienie do tej chwili,

w której drugi kruk się nie odezwie. To podwójne krakanie dowodzi zawsze, że jakaś znaczniejsza ofiara ma być pożartą, i jeżeli to w bliskości lub na płaszczyźnie, można za krukami pośpieszyć i odebrać jeszcze zająca lub sztukę drobiu. Szczególniejszy ma dar rozpoznawania postrzelonej zwierzyny od zdrowej, już z oka jej nie spuści, a gdy ofiara żyć przestała, woła drugich do uczestnictwa przy uczcie. Częstokroć jeszcze zwierz łązi, upada, dźwiga się, aby znowu się położyć, krwawi swój trop, a już zebrane kruki ponad wierzchołkami drzew radosnem krakaniem śpiewają *de profundis*. Nieraz zaprowadziły mnie do sarn i dzików, które im odebrałem. W podobnych wypadkach małżeństwo i dziatwę zwołują, dzieląc się razem, toż samo przy ścierwie czyni.

Podziwienią godną jest ta organizacja; na całym horyzoncie jak oko obejmie, jeden kruk lata, drugiego niema, po powtórzonem krakaniu i odpowiedzi zjawia się drugi niebawem jak czarami wywołany, a gdy rodzice wabić nie przestają, zlatują i dzieci.

Zupełnie jak w znacznych miastach ajenci policyjni znają swe stanowiska i z najodleglejszych miejsc świstawką zwołują się, tak i kruki, obeznane z pobytam członków rodziny, o każdej godzinie dnia zebrać się mogą. Każdy wydany głos ma swe znaczenie, jest to rozmowa nieustająca, najczęściej słyszymy kra, kra, wszakże zmienia je w krakolb, co powtarza kilkakrotnie; w godowej porze kraczą mąż z żoną na różne tony

miłośne treny, gdyby muzyka pogrzebowa, siedząc kiwają się, wołając klon, klon lub kłokulb.

Nader łatwo uczy się mówić basem, tak wyraźnie czasem, jak żadna papuga, niejednego oszukać może, przemawiając chrypliwym głosem. Niejeden kruk tak jest szczebiotliwy, że dzień cały nauczone wyrazy z ukontentowaniem powtarza, kracząc w akompaniamencie do tego.

Śmiało na kruka dekret podpisać mogę, jako ze wszystkich znanych mi ptaków, on jest najszkodliwszym i najniebezpieczniejszym. Rozum, zręczność, siła, przezorność ułatwiają mu łowy; równie zręcznie łowi dzióbem jak szponami, jedynie w locie ptaka złowić nie jest w stanie.

Najstraszniejsza jego broń jest teroryzowanie swej ofiary, zupełnie jakby ją magnetyzował; krąży nad nią, okala, bije na nią, trzepoce w górze, krakając bez ustanku. Zające i kuropatwy, przepiórki i chróściele, drobne ssaki rzeczywiście paraliżuje, do tego stopnia, że się bez ucieczki brać pozwalają. Szybkość lotu jego nadzwyczajna, wszakże bez zwinności i to powodem, że w locie nie chwyta swych ofiar.

Młode jagnięta, prosięta, sarneczki i jelenie z pomocą drugiego zabija, jedne ofiary pokonywa odwagą i natarczywością, drugie podstępem i chytrością. Jako dowody mego twierdzenia przytoczę tu kilka zdarzeń, jakich świadkiem byłem.

Oślabiona świnka, już może roczna nawet, została w polu, nie mogąc podążyć za trzodą. Kruk ją upatrzył,

zawołał drugiego, krakając ustawicznie, gdy dalej szła, jak się zaś położyła, siadał jeden ptak, uderzał dzióbem, odleciał, ustępując miejsca drugiemu, powtarzając ten manewr przez długi czas, nareszcie świnkę zabili i pożarli.

Na kuropatwy poluje gdyby uczony ptak. Upatrzywszy stadko, czyto na roli, czy na śniegu, przelatuje nad nim kilka razy, trzepocze się, krakając, i tak zastraszy nieszczęśliwe kurki, że leżą jak martwe bryłki i brać się dają. Wielkie szkody w kuropatwach wyrządza, a twierdzą, że jeszcze większe w bażantach. Przy tem polowaniu zupełnie drapieżne naśladuje ptaki.

Jest on najstraszniejszym wrogiem zajęcy, postępuje jak z kuropatwami, teroryzując swe ofiary i z pomocą drugiego, zająca zawsze zabije. Mieszkając w nader garbatej okolicy w Brzeżańskim, poprzerzynanej parowami i debrami, miałem sposobność podziwiać sprytność kruków, której nigdy dosyć zgłębić nie jesteśmy w stanie.

W czasie długotrwałych śnieżnych zamieci, owe debry i parowy bywają w zupełności śniegiem okryte; zające wystawione na prześladowanie człowieka, zwierząt drapieżnych i ptaków — konserwacja życia wskazuje im środki ostrożności — chowają się po lasach, zarosłach i trzcinach, lecz mieszkaniec łąnow podolskich i stepów pozostaje w swej ojczyźnie i najdziwniejszego szuka schronienia. W śniegu kopie stepowiec kondukty, kurytarze i krużganki, czasem parę sążni długie i tam zamieszkuje. Najpierwej grzebie

przedniemi skokami, później włazi tyłem i wymiata kotlinę. Aby zaś nie było braku powietrza na przeciwnym końcu, robi otwór, gdy zaś kilka dni tej jaskini używa, wyslizga ją gładko i wtedy nader łatwy do wyśledzenia; poczem wyrabia sobie świeżą jamę. Zdaje się wszakże, iż przed mojem odkryciem mądre kruki wyśledziły taką kryjówkę zajęcy i łowiły je tam bez miłosierdzia. Gdy wypatrzyły otwory kotlin zimowych, a nadzwyczajnym swym wiatrem przekonały się, że tam zając siedzi, jeden kruk w otwór wlaził, drugi zaś pilnował przy wyjściu, jak zając się wymykał. Albo go dzióbował, albo też, siadłszy na niego, skrzydłami trzepotał, a silnym dzióbem ciosy zadawał. Była to nader krótka chwila, gdyż na pierwsze zakrzeczenie zająca wypadał drugi kruk i dopomagał do uśmiercenia szaraka. Czasem zajęczysko, wymknąwszy się szybko uciekł po białej płaszczyźnie, lecz to mu życie rzadko kiedy ocalić mogło, kruk bowiem na warcie stojący, zakrakawszy na kolegę, leciał, uderzał i straszył zająca, który, straciwszy przytomność, tulił się do śniegu i czekał niechybnej śmierci. Na pastwiskach zapełnionych gąsieniami, oblatują kruki, rekognoskując miejscowość; gdy uznają zupełne bezpieczeństwo, bez żenady siadają wśród gąsien i porywają młode, gdy zaś ostrożność nie pozwala otwartego rozboju, siadają sobie na płotach lub w koronach liściastych drzew i dopóty na obserwacji siedzą, dopóki nie upatrzą stosownej pory do porwania pisklęcia. W ten sam sposób postępują z kurczętami, kaczetami, indyczkami, psietami i t. d.

Polowanie w otwartem polu odbywają na zające zupełnie jak wilki; rano puszczają się na upatrzonego gdy jeden upatrzy, woła drugiego i starają się w miejscu wziąć ofiarę, krakając i kołując nad nią, co im się często udaje, zając bowiem tak zgłupieje, że się nie ruszy i dozwoli się zabić. Jak ruszy, wtedy rozpoczyna się właściwa heca: jeden go goni, spuszcza się na niego, próbuje wbić szpony z ustawicznym krakaniem, drugi przed zającem przelatuje pędem błyskawicy z przestraszającym świstem lub też opodal siada, wymiarkowawszy kierunek jego, a gdy się zbliża, krakając ku niemu podlatuje i z tropu zbija. Wyścigi te powietrzne, kończą się zawsze śmiercią steroryzowanego szaraczyska. Zdarza się, że dopadnie lasu lub krzaków, wtedy uszczęśliwiony pod pniem lub krzakiem schronienia szuka i odpoczynku, lecz i tam bystry wzrok kruków dopatrzy go i prawie zawsze na miejscu dokona.

Nieobliczone ofiary kruki pożerają i wielce myśliwstwu szkodzą; są w niektórych okolicach stare kruki, które w czasie zimy wyłącznie zającami żyją. Nieraz i w różnych okolicach widywałem polowanie kruków na zające w zimowej porze, kilka zajęcy sam im odebrałem w części lub w całości, wszakże, aby to uczynić, śpieszyć się trzeba, gdyż w okamgnieniu pożerają dwa kruki zająca. Codziennie oblatuje parka swój rewir i, wyjąwszy swej rodziny, żadnego kruka tam nie ścierpi; gdy się obcy zjawi, zaraz się rodzeństwo zwabia, aby go wypędzić. Węchem (wiatrem)

nadzwyczajnym i niepospolicie bystrym wzrokiem, przy niezmęczonej czynności, rozumie, ostrożności i bystrości, z łatwością się wyżywia, lubi przysmaczki w ciepłej krwi maczane, lecz w braku tychże pożera i ścierwo. Ciekawy jest do obserwowania, gdy spostrzeże ścierwo, zawoła drugiego, krążą długo i rekognoskują miejscowość; siadają opodal, zbliżają się, aby znowu odlecieć, długo trwa egzamin, zanim przyskoczą szarpać mięso. Przy znaczniejszem ścierwie po przekonaniu się o zupełnem bezpieczeństwie, wznoszą się w powietrze, każdy w swoją stronę, kracząc we dwa tony, zwołują na ucztę rodzinę całą.

Dozwalają natrętnym srokom i wronom uczestniczyć o tyle, o ile krukowi nie przeszkadzają, gdy im zawadzają, silnemi cięciami dzioba odganiają, a czasem jeszcze w locie prześladują.

Nieraz porwie wronie pisklę; w gajach i przylaskach, gdzie setki wron się gnieździ, a kruk się pojawi, wtedy na alarm jedna zawoła, wszystkie z lamentem zlatują, nawet gniazda i jaja opuszczają, aby rabusia wypędzić, który też wobec hałaśnej zgrai chyłkiem, jak odkryty złodziej się wynosi, nie broniąc się wcale. Nieraz na ten krzyk podbiegałem lub podjeżdżałem śpiesznie, mniemając, że jastrząb, sokół lub wielki puchacz popłochu przyczyną. Najczęściej przekonałem się, że to był kruk.

Ginie na zatrutem ścierwie, które myśliwi kładą po lesie lub polu na wilki i lisy; jest ono dla kruka rzeczywistym niebezpieczeństwem, widzi bowiem zu-



pełne bezpieczeństwo, woni trucizna nie ma żadnej, więc zawsze śmierć go na ścierwie zaskoczy i ten sposób niszczenia kruków najskuteczniejszy. Polując dużo z puhaczem na drapieżne ptaki, miałem sposobność podziwiać rozum i ostrożność kruków. Gdy sroki i wrony zajadły na puhacza były, drzewa niemi okryte były i różne gatunki dziennych ptaków nadlatywały, krążyły lub nad nim trzepotały i na gałęzie siadały, kruki, które zupełnie jak inne ptaki nienawidzą puhacza, wszakże w jednej chwili oceniły, jak to dziś mówią, sytuację. Przypatrzywszy się temu ze znacznej wysokości, zakrakały, jakgdyby mi powiedziały, wiemy czym to pachnie i ulatywały. Przez tyle lat mego polowania, przy doskonale zakrytej budzie, nie zdarzyło mi się ubić, ba, nawet strzelić do kruka.

Kruk jest miejscowym ptakiem; wzięwszy dla siebie i rodziny znaczne przestrzenie w posiadanie, jak panujący swem wojskiem, tak on z rodziną strzeże i broni granic, jedynie głód, co wszakże rzadko się zdarza, wyprowadza go do czasowej emigracji. Bywa wszakże, że znaczne padliny sprowadzają wielką ilość kruków; jak już mówiłem, kruki są przeznaczone do czyszczenia ziemi z nieczystości, zwołują się więc do roboty, a gdy ta ukończona, każda rodzina wraca do swej siedziby.

Żyje samotnie przedstawiciel śmierci, ten ptak cmentarzowy, smutny i ponury, nie zna igraszki i zabawy, kłątwa na jego rodzie cięży. Gdyby prawdą były

wędrówki pokutujących dusz, wielcy grzesznicy pokutowaliby w postaci kruków.

Dziwnie czynny, dzień cały w pracy, nawet po nasyceniu się lata i ustawicznie szuka jako myślący o przyszłości, tak jak kradnie, dla kradzieży, bez pożytku dla siebie, tak morduje ofiary z drapieżnością i zwyczaju. Często widywałem kruki zostawiające smaczne kaski, które później wrony konsumowały — wrony bowiem, przekonawszy się o niepospolitej wyższości kruków, często im towarzyszą, a doskonale znając to krakanie, wskazujące krukowi pożywienie, lecą w to miejsce i na uboczu czekają na resztki lub też cisną się impertynentki między kruków, dopóki uderzeniem dzioba odprawy nie otrzymają.

Zabawne są pasorzytne wrony, gdy przy krukach z niecierpliwością na pożywienie czekają, szczególnie gdy głodne, trzepocą skrzydłami, tańczą z niecierpliwości, kołyszają się na nogach, wołając kro-a klug, kilkakrotnie te tony powtarzając, biją się między sobą, jakby o pierwszeństwo przystąpienia do uczty. Często-kroć kruki uprzątną wszystko i odlecą, wtedy chciwe wrony spieszą na to miejsce i w osłupieniu nad tem oszukaństwem sceny wyprawiają, że się od śmiechu wstrzymać trudno, biją się o resztki, jedna z kością ucieka, goni ją druga, odbiera, a widząc nagą kość, porzuca ją, nareszcie, jakgdyby na orzeczenie, że to przygoda niepospolita, chórem zakrakają i każda w swą stronę leci.

Kruk wszakże dosyć rzadko i to pewnie w głod-

nych chwilach, zakopuje resztki swego pożywienia; pazurami wydrapuje dołek, bierze w dziób mięso z powagą, przymierza do dołka, zgłębia lub rozszerza według potrzeby, i wtedy, gdy go zupełnie schowa, nakrywa ziemią dopiero. To zatrudnienie zawsze mi wrazenie czyniło, jak gdyby ten niepoprawny rabuś, czasem wyrzutami sumienia ruszony, swej ofierze pogrzeb chciał sprawić.

Kradnie, i na wolności, gdzie co spotka, wszelkie świecidełka metalowe porywa, znosi daleko i zakopuje; przy tej operacji nader ostrożny. Gdy siądzie, skarb swój na ziemi położy, ogląda się na wszystkie strony, i gdy nabierze przekonania, że zupełne jest bezpieczeństwo, wtedy ziemią nakrywa, gdy niepewny, porywa i ulatuje kilkakrotnie zanim zakopie.

Szmatki jaskrawych kolorów, służą mu do zabawy, leci z niemi daleko, siada na konarach i drze w kawałki, w czasie zaś lęgu gniazdo swe w nie ustraja.

Kruk dzięki swej ostrożności i swemu rozumowi żyje i mnoży się, zaczawszy od Islandji i Kamczatki, w Syberji i na kontynencie całym, w Ameryce i Azji, w górach i na płaszczyźnie, w lesistych i z drzewa ogołoconych okolicach, w mokrych i suchych miejscach, a skończywszy na naszej krainie. Wszędzie kruki zamieszkują w małej ilości, a to z tego powodu, że po rozmnożeniu się, dopóty stare z młodemi toczą walkę, dopóki młodszych z okolicy nie wypędzą. Spotykałem kruki w Tatrach na skałach 3000 stóp wysokości z rzeczywistym zadziwieniem, bo zaiste, co za żer

nagie te przestrzenie przedstawiać mogły, a przecie przez kruków zamieszkane były; wszakże w zimie spuszczały się do wsi i tam wśród ludzi na drogach zimowały.

Na stronie węgierskiej wszędzie pojedyncze spotykałem pary.

II

W roku już nie pamiętam którym, koło 1841—1842, pierwszej i nieco później, rozpowszechniły się rozboje w górzystej części Węgier, w naszym zaś kraju, w obwodach kołomyjskim i stanisławowskim, potworzyły się bandy nazwanych opryszków, napadali oni podróżujących, kupców i handlarzy, księży i arendarzy, zabierali bydło i owce, uciekając w niedostępne góry, w ciemne lasy, nieruszone siekierą. Rząd z tej strony Karpat, długo się namyślał, jeszcze dłużej swe środki przygotowywał, nareszcie formalną wojskową obławą ścigał i prześladował opryszków, używał chłopów, wyganiał całe gminy, uzbrajał je i nareszcie po długich latach, przywrócił bezpieczeństwo w tych obwodach. Mało śmiercią karał, największą część zbrodniarzy zamykał; kryminały — te istne u nas szkoły rozboju i złodziejstwa, nie poprawiły wprawdzie opryszków, lecz ich zastraszyły i mówmy prawdę, zmęczyły; wyszli z duszami czarniejszemi jeszcze niżeli pierwszej, zachowali teorię zbrodni, wszakże nie zbijali się już w bandy rozbójnicze.

Węgierski rząd inaczej sobie postąpił. Ogło-

szono sąd doraźny, schwytany rozbójnik po godzinnej indagacji już dyndał, najczęściej w swej gminie, sam lub w licznym towarzystwie, gotując dla kruków nie-jeden smaczny kasek. Chociaż tu opisywać mam gody kruków, nie mogę powstrzymać się od rzucenia kilku ogólnych uwag o narodzie węgierskim.

Ciekawy to kraj, ciekawszy jeszcze naród węgierski, nie myślę tu wchodzić w etnologiczne wywody jego pochodzenia, czy z Azji pochodzi, czy w żyłach jego płynie część krwi cygańskiej, patrzę i badam od lat 28 stan rzeczywisty, podziwiam i straszę się, częstokroć oczom nie wierzę.

Tradycja, tak trudna do odwrócenia jak koryto rzeki, tradycja w każdym narodzie, równe sobie wyręła koryto, którem płynie, rządy stawiają tamy i zapory, tradycja je łamie lub zręcznie omija. Ona to przedstawia zwyczaje, odrębność, wychowanie, pamiątki, podstawy społeczeństwa i narodu — nieszczęśliwy, który na nią rękę podnosi, sam zginie, lub błędzić zacznie po manowcach wieku. Nieszczęśliwszy jeszcze naród, który ją zaciera, jej się przენiewierza, łaszcząc się do kosmopolityzmu, tej bogini 19-go wieku, ubarwionej częstokroć tylko blichтром postępu, który amalgamuje, cechy odrębne zaciera, niosąc chorągiew z napisem: nie narody, lecz ludzkość; oto dla wszystkich wskazany cel: pokusa wygod, polepszenie bytu, dogadzanie zmysłom, usunięcie ciężkich obowiązków względem kraju i narodu; oto maszyny, niwelujące drogę prowadzącą do kosmopolityzmu.

Tradycja w narodzie nieugięta i niezmienna w swej żelaznej zbroi, grozi i napomina, wskazując: Ja zbiorowiskiem cnót, podstawą siły, skarbcem religijnych uczuć, ja podstawą narodu, we mnie mieści się przeszłość, ja podstawą przyszłości, bezemnie — wynarodowienie! — Narody upadły zniszczywszy tradycję, narody walczące o byt i niepodległość, na niej tylko oparte, zdobyć mogą urzeczywistnienie marzeń, prac i poświęceń. Rzym i Ateny wskazują nam niebezpieczeństwo, dzieje krwawe męczennicy naszej, dziwnie a strasznie, tą ognistą ręką piszą na stronicach historii męki narodu: Ty zacierałeś tradycję, łączyłeś krew twą z krwią przyszlých wrogów, przyjmowałeś zwyczaje obce, obcą mową kalałeś ojczysty język, zacierałeś i jeszcze zacierasz podstawę bytu, straciłeś, pomimo twej potęgi znaczenie, czujesz się bezsilnym, przerzucasz dziś broń w tej ciemnocie, nie wiesz już, jaką masz walzyć.

Przeniewierzenie, słaba chwila w ułomnym człowieku, ścigać go będzie jadowitem prześladowaniem, przeniewierzenie w narodzie, karę niebios sprowadza, jęczy on w szamotaniu się, lub letargicznej martwocie, zaniedbuje swe prace, a cel ostateczny jego, oddala się coraz bardziej i bardziej. Przybiera zamgloną postać, której obraz z napisem, z wątpliwie, a ta otchłań przepełniona trucizną, mieści w sobie niemoc, zagładę.

Mimowolnie zestawilem i zestawiam porównanie Węgier z nami, w tem źródle czerpię nauki pełne użytku. Węgier nie odznacza się cnotami, mało reli-

gijny, niezbyt bystrego umysłu, zuchwały i niesforny, butny a nie bardzo pracowity, do tego dziwnie niepłodny. Naród zlepiiony z najróżnorodniejszych szczepów i narodzików, z kilkoma religjami i obrzędami, rozrzucony na ogromnej przestrzeni, kraj z obszernymi bagnami nie zamieszkałymi wcale, z dwoma pasmami gór mało zaludnionymi. Czy to wszystko przedstawia materiał do siły, jedności i potęgi? Tradycja salwowała naród, rozum i sprawiedliwość, zabezpieczy mu przyszłość, bo uwzględniać będzie prawa narodowości, umiejac je pogodzić z potrzebami jedności państwa.

Naród miał wybierać we wszystkich warstwach wybrańców i kierowników, wyborcy zaś z podziwienia godnem zaufaniem szli za przewodnikami. Widział czego chce i czego potrzebuje, w niezłomnej wytrwałości pracował bez narzekania.

Nadszedł czas niedoli, gromy padały, nędza zawieszona nad mieszkańcami, opiekuńcza władza zaślepiona w swej zemście, prześladowuje i krwią walecznych ziemię kropi, światło i postęp niemiecki niosą w krotnej liczbie urzędnicy, u władzy systematyczne prześladowanie, w narodzie nieugięta wytrwałość oparta na tradycji. Jak w katakombach chrześcijanie niczem nie złamani, tak Węgry stoją przy prawach swych, pieszcząc to chwilowe męczeństwo, jak pieści płomień złoto, które z aliażu oczyszcza. Dla Węgier prześladowanie, to był ten ogień dla złota, wytrwali i uratowali się. Nie oglądając się za pomocą zagraniczną, która mi wrażenie robi jabłka w raju z zarodkiem



smierci — tej błyskotki, co dzieci usypia, a sprawie pożytku nie przynosi.

Nie poglądali chciwym wzrokiem poza granice, lecz w własnym kraju sił szukali, jednoczyli się, poznawali swe potrzeby, łączyli jedni z drugimi, od chaty do pałacu utworzyli łańcuch, którego biurokracyzm nawet rozciąć nie potrafił, ani też podziemna nauka zniweczyć nie zdołała. Poznali się wzajemnie, uwierzyli sobie, podali ręce do wspólnej pracy, przysięgli na niezłomną wytrwałość, policzyli słabe siły, które spotęgowały się wszakże w jedność, zawierzili przewodnikom i wyszli z tej strasznej walki narodem.

Zwrot myśli porównawczy ku tej stronie Karpat, wskazuje smutny obraz. Obym nigdy nie był zmuszonym, niedołężnem mem piórem go Wam skreślić, wolę rzucić na niego zasłonę, w miłosierdziu Bożem nadzieję położyć, że błądzących wstrzyma, postawi swe dzieci na drodze prowadzącej do pożytecznej pracy, że zjednoczy rozbitych, pogodzi zwaśnionych, wskaże przewodników, obudzi zaufanie w własne siły, wytknie niwy na których pracować mamy. Byleśmy przy ołtarzu wiernie stali; z chorągwią Boga Rodzicy w rękę szli ku przyszłości, za wiarę i ojczyznę jak tradycja wskazuje, a Pan miłosierdzia swój naród rozkuje.

Rządzący Węgrami, znali swój naród i umieli go prowadzić, administracja nieraz wydawała nam się potworną, wszakże zadawała administrowanych; sądownictwo częstokroć nerońskie odpowiadało potrzebom, wynosili jak najwyższe pojęcie potęgi narodu, mi-

łość ojczyzny, podnosili wartość pojedynczych, zaszczytali zamiłowanie wolności i tolerancji, elektryzowali do waleczności, niepodległości, a gdy stworzyli niebezpieczną zuchwałość, umieli ją skarcić.

Przywodzi mi pamięć ciekawy epizod z mego nomadzkiego, badawczego życia. Kto nie Galicjanin, ten myślą nie obejmie potęgi wielkości dawnego komisarza obwodowego. C. k. basza był wszechwładny, częstokroć niedołężny, zawsze siłą prześladowania był strasznym i niebezpiecznym, zdolności jednoczył do mięszania mętów społecznych, do nadwerężenia praw własności. *De mortuis nisi bene* — nie skończę obrazu komisarza, snują się oni jeszcze wprawdzie po kraju, lecz wstydliwie odcienia dawnej służby zasłaniają, charakteru rysy zrzęcznie ubarwiają pożyczaną polskością, posuwają zaparcie siebie do tego stopnia, że uznają samorząd, chwalą go i zalecają, nie krztusząc się bynajmniej w tej roli niby nawróconego.

Otóż do Galicji przybywały zarodki komisarzy obwodowych, bez asystencji wojska, do narodu znękanego wewnętrzną i zewnętrzną walką, który się już dawał prowadzić każdemu, kto tylko chciał; stan to omdlenia, po strasznej gorączce. Baszowie z torebką, w pończochach i trzewikach, z łatkami na ubiorach, papierami pod ręką, bez zdolności i odwagi przybyli do Galicji, objęli zarząd, my zaś jak posłuszne dzieci daliśmy się kierować, prześladować i maltretować, ocknąwszy się niekiedy, oburzaliśmy się, gdy krew ojców w żyłach zawrzała; wszakże odpowiadano nam, prowadząc

nas na linewce, zapóźno. Jedni włożyli się w jarzmo, drudzy łaszcząc się u władzy, mniemali otrzymać polepszenie losu, inni ubezwładnieni wpadli w martwość, niektórzy, Jeremiaszowie, śpiewali psalm nad narodem rycerskim, który z łatwością jak dziecię okiełznano. Dosyć tego, stało się — poczucie swej wartości coraz żywsze! — Szczęść Boże na tej drodze.

W roku 1849 niedaleko Eperies, u barona Ser... po nieszczęśliwej walce, nieproporcjonalnych szermierzy, do której w imieniu cywilizacji wezwano barbarzyństwo ku pomocy i nareszcie rozbrojono rycerza, nie bacząc, że pomocnik zostawił nasienie chwastów jadowitych, niełatwych zaiste do wytępienia, nawet przez wytrwałych Węgrów. Otóż gdy chciano ubezwładnić buntowniczy naród, wzywano z armji biurokratycznej, każdego z dobrą wolą i odwagą, aby szedł ujarzmić i stosunki zamącić, aby szedł zdobyć miłość i wdzięczność dla chłostających, gdyż to był jeden z ważnych ustępów politycznego katechizmu, wskazanego do rozpowszechniania, a którego treść znają Galicjanie.

Niejeden odważny, *ibi patria ubi bene*, puścił się od nas przez Karpaty z błogosławieństwem naszym na drogę, lecz bez asystencji wojskowej; do Węgier ani kroku puścić się żaden nie śmiał. Wypróbowany mój komisarz długoletnim pobytem w Galicji, przy bezpiecznej pomocy 4-ch żołnierzy i tak nazwanego firera, zjawia się we wsi węgierskiej celem zaprowadzenia nowego porządku rzeczy. Rozłokowawszy się w karczmie, woła wójta, daje instrukcje, które

tenże w milczeniu przyjmuje, głosi nowe zasady, odkrywa nadzieje, zużywa swe środki wobec wierności wójta — te środki, któremi tak skutecznie mącił stosunki w Galicji. Nareszcie posyła wójta do dziedzica, aby się stawiał do komisarza. Baron S. był nadzupaniem, pomimo usunięcia instytucji na czas pewny, pomimo złamania władzy, jego wpływ i powaga bez tytułu i urzędu były też same. Wójt z uśmiechniętym, drwiącym wyrazem, wyszedł polecenie wypełnić i powrócił do komisarza, oświadczając, że dziedzic na niego w zamku czeka. Komisarz zaindyczony zawołał: «Co? On na mnie? Tu się ma jawić! Firer z wójtem, przyprowadzić tu zaraz, ja tak każę». Basza się w mundur ubrał, złoty kołnierz postawił, jak kogut grzebień przed walką, wziął czapeczkę, poglądął na nią z zamiłowaniem, bo to palladium jego w Galicji, zapiał mundur, poślinił rękę, pogłaskał czuprynę, ścisnął pięść, oparł się o stół, wyjął lusterko, z zadowoleniem spostrzegł odzwierciedlony obraz rozkazującej powagi — i czekał. Niebawem pojawia się sześciu hajduków i 4 pachotków barona i z węgierską po słowiańsku dają mu do zrozumienia, że się ma stawić natychmiast do zamku. Komisarz zadziwiony, a nieco i zmięszany, woła na swą załogę, lecz ta uznała za stosowne usunąć się od zbrojnej interwencji wobec załogi zwycięskiego żupanstwa. Spostrzegłszy czarne wysmarowane wąsy, cygańskie cery z wyrazem rezolucji, a szczególnie zobaczywszy palice z pewnego gatunku drzewa, jedynie na puszcze węgierskiej produkowanego, żelaznej twardości a spi-

zowej wytrwałości, szybko się zdecydował. Zawołał na firera, szepnął sobie *verfluchtes Volk* i począł się drapać po ślimakowej drodze, prowadzącej do starożytnego zamku, w którym zawsze rozkazywano i zawsze godność swą zachować umiano.

Usunięty nadżupan, ze spokojem, cechującym znajomość swej wewnętrznej wartości, rzekł: Pan komisarz mnie ciężko obraziłeś, a zatem wobec mego dworu i wójta masz mnie przeprosić. Basza z trzema ogonami, rzuca się i szamocze, wskazuje na bory i guzik na czapce, rezolutny i zuchwały w duszy, licząc ile on to obywateli galicyjskich złamał, zastraszył i zmotłoczył, wymawia, cedząc te słowa: «Ja tu władza, należy mi się posłuszeństwo». Baron nie zmieniając tonu, zawołał: *«Bank herein»*. Wnieśli ławkę, wskazał dziedzic alternatywę i skończyło się na tem, że komisarz przeprosił, połknął ten epizod i pewnie go strawił, nie udzielając go powszechności.

Poczucie swej osobistej wartości, owej godności i zacnego stanowiska, odwaga w obronie tych skarbów człowieka, oto co cechuje obywatelstwo węgierskie, tworzy siłę, wzbudza uszanowanie. Tysiące urzędników powlokło się do Węgier 1849 r. chcąc przeprowadzić system praktykowany w Galicji i lat 16 upłynęło, urzędnicy zaszczepili jad, wszakże bez zatrucia społeczeństwa.

Godność człowieka i odwaga cywilna, przekonanie, że przyjąć trzeba konsekwencje czynów swego życia, oto puklerze, o które rozbił się system jadowity biurokratyzmu austriackiego w Węgrzech. Kto zna na-

sze stosunki, przeczyta wiele pomiędzy tu skreślonemi wierszami, oszczędzi kreślenia obrazków szambelaństwa i manji antyszambrowania.

Wracam do opryszków. Niejedna osada z dy mem poszła, niejedna rodzina mienie postradała, popłoch był ogólny, oburzenie powszechne, ratunek konieczny; wszystkich oczy zwrócone ku władzy węgierskiej.

Nadżupani gromadzili hajduków i pachotków, zwoływali strzelców, organizowali zastępy w ruchome kolumny, policja zorganizowana, szpiegostwo z poświęcenia dla dobra ogółu, otaczali rozbójnicze bandy; jednych zabijano, drugich brano żywcem i do władzy odstawiano. Tu bez długich protokołów i pisaniny, krótka indagacja, wysłuchanie świadków i już nieprzyjacieli społeczeństwa wisiał, żegnając nogami tragiczną scenę, którą opuścił.

Sprzeciwia się to pojęciu sprawiedliwości, duchowi czasu, głównym zasadom tegoczesnym; niejednen z apostołów wolności, której dla siebie pragnie, kładąc jarzmo na drugich, potępi owoczesnych nadżupanów, wszakże ja wiem, że po trzech miesiącach wisieli rozbójnicy, mienie i swoboda były zabezpieczone, jednym słowem, znikł liczny zastęp opryszków.

Dwa prostopadłe kije, poprzeczny u góry, kul z postronka w środku, w ziemi głęboki dół wykopany, oto cały przyrząd sprawiedliwości. Jak był ubrany, tak i powieszony; malownicze stroje, czasem nawet i czapeczka na głowie wisielca, marsowe twarze, płeć czarna jak gdyby cygańska. Wieszano, ile złowiono, rzędem jeden

obok drugiego; bywało dwie postacie, czasem pięć, raz narachowałem dziewięciu razem, drogą zbrodni wypędzonych w świat odpoczynku.

Malowniczy jest krajobraz górskich Węgier, pełen poezji, zmian i widoków.

Głęboko mi się zaryły w pamięci obrazy tych wisielców, kołysanych wiatrem, stykających się razem, tłukących się kościotrupów. Nad wsiami po pagórkach rozstawione szteltarze śmierci, jeden już ogołociony z trupa, drugi przechowuje nawpół zgniłą głowę, straciwszy kadłub spoczywający już w ziemi, na innych wiatr rzuca guńkami, ręce obwisłe, nogi w takt się ruszające, tu całe ubranie, tam łachmany wiszą, włosy długie kłębią się po ramionach, zlepione potem śmiertelnym i deszczem. Ten jak rekrut z ogołoną głową; obok dojrzałego wytrawnego zbrodniarza, zarosłego jak odwieczna knieja lub zamszona skała, wisi młokos pewnie porwany namową i pokusą do rzucenia się na życie i mienie bliźniego! Nie można tu wyrzec: pokój umarłym; w ustawicznym oni są ruchu, widoki się nie zmieniają, wiszą jedni, drudzy spadają, ci którym sznur szyję przegryzł; szum trupiarni, widok strasznej sprawiedliwości, tak dziwnie doraźnej. Otrząsłszy się z przerażenia, ścigany byłem widmem, tłukły mnie szkielety, fetor zgnilizny prześladował, wyobraźnia pozbyć się nie mogła tych obrazów.

Jak dziś pamiętam, jechałem pod wieczór, a podniósłszy oczy, ujrzałem pięć szubienic z wisielcami. Do tej chwili jeszcze jednego widzę, w niebieskiej kapocie,

śniadej twarzy, regularnych rysów, wąsikami czarnymi, z wyrazem dziwnego spokoju na twarzy. Temu w strasznej godzinie Bóg swe miłosierdzie udzielił i tak być musiało, inne bowiem twarze powykrzywane, z przestraszającymi grymasami, straszły żywych. Gdym zawołał: O Boże mój, cóż to jest! woźnica Słowak odpowiedział: To nic paneczku, to zbój wisi, dosyć oni nam biedy narobili.

Niedaleko wsi, tuż obok drogi, te przestrichy na zbrodnie wisały, dopóki zgnilizna z pomocą ptactwa i robactwa nie rzuciły do grobu otworem czekającego i kolejno wszystkie części ciała przyjmującego.

Ludzie zatrudnieni, prace nieprzerwane, podróźni krążą, handel obiega okolicę, mało kto zważa na te obrazy; miejscowy lub krajowiec grozi palcem lub pięścią, pomny nieszczęsnej przeszłości.

Niejeden zawołał: straszna średniowieczna sprawiedliwość, godna barbarzyńskich czasów; prawda i zająca prawda, wszakże rasa opryszków od tej chwili zaginęła.

Gdy przeciwnie po bezowocnej walce r. 1849 powoływały się bandy z wyrzutków węgierskich legionów, rząd ówczesny, mimo swej wojskowości, posyłał komisarzy i żandarmów, kolumny i bataljony, a rozbój długie trwał lata. Znany Roza Szandor nawet kasy rządowe rabował i okradał tych, którzy go ująć mieli.

Był to tłusty karnawał dla kruków, istne ostatki przy hałaśliwej muzyce ich krakania. Niebo szare, wiodok świata ponury; ku końcu jesieni, pod niski wsiężącymi chmurami, ciągną kruki, zwołując się wzajem-

nie. Dziwne to zjawiska; te odludki ptasiego rodu, ściśle zamknięte w kole rodzinnego pożycia, w podobnych wypadkach z dalekich nawet stron zapraszają do uczty biesiadników.

Zlatują się kruki, pogrzebowe ptaki, niszczyiele ścierwa, silnym ozdobione dzióbem, tępemi lecz twarde pazurami mają się krwawej pracy.

Piekło nie skreśli takiego obrazu, a on przecie w rzeczywistości istniał.

Nad szubienicami kruki się kołyszają lub stoją w powietrzu, utopiwszy wzrok chciwy w swe ofiary, inne szują powietrze, rekognoskując ciała, jak gdyby przkonać się chciały, czy one rzeczywiście dla nich przeznaczone. Widzisz najodważniejszego, który siada na ramieniu i auskultuje dzióbem ciało, czy już trup bezpieczny; inny kruk siada na poprzeczce szubienicy, a nachyliwszy się puka dzióbem w wisielca, patrzy i słucha, czy nie da życia objawu. Szelest kości lub opadnięcie części ciała płoszy je chwilowo, lecz mądre ptaki niebawem oswajają się z otoczeniem i towarzyszącym mu hałasem i powracają dokończyć dzieło zniszczenia.

Na tej głowie siedzi kruk, silnie dzióbem tłucze w mózgownicę, aby dobyć ulubiony przysmaczek, drugi przyczepiwszy się do twarzy jak dziecko do kory drzewa, jedną nogą opiera się o nabrzmiały policzek, drugą uchwyciwszy nos wisielca wydobywa oczy, połyka jedno, z drugim na szubienicę odlatuje, kładzie go, uderza weń i ciecz wypija.

Tam kruk zniecierpliwiony szarpie w łachmany

odzienie, drze i rozrzuca, aby się jak najprędzej do ciała dostać, lub oderwawszy jaskrawą szmatę ulatuje z nią w powietrze, unosi i igra w locie, gdy nasycony.

Zgrozą i oburzeniem przejmuje widza ten ptak, który ogołociwszy brzuch, rozpruwa go i wywleka wnętrzności, zanurzając głowę w otworze, pije zepsute soki. Mokry i skrwawiony odlatuje, siada na drzewie i gdyby kat miecz swój, ociera dziób o krawędzie.

Dosyć tych rysów z życia kruka na węgierskich szubienicach; kto raz je widział, nie zapomni ich nigdy

Męczeńskiej historii narodu towarzyszą kruki na długiej linii etapów syberyjskich; niejedno ciało ofiary i poświęcenia rozszarpane i pożarte zostało, kości służyły za igraszkę wiatrom. Niejeden powstaniec bez pociechy religijnej, bez opieki, wiedzy i nauki, sam, w lesie pod łosem boleśnie kona, ostatnią myśl śle matce, pozdrowienie Ojczyźnie, która zawsze i coraz więcej ofiar wymaga, nienasycona, wymagająca, zaciąga krwawe dług, nie wyznaczając nawet terminu do zwrotu i wynagrodzenia. Nieszczęśliwy młodzieniec w bolesnym osamotnieniu, duszony pragnieniem, raniony brakiem ratunku, umierający a pełen trwogi, że kat go jeszcze zdobędzie, błagalny wzrok wznosi ku niebu. Lecz pod sklepieniem niebios nie zoczy cudownego obrazu, pocieszającej tęczy, promienia nadziei, lecz ujrzy złowrogo krakające ptaki, które się w obserwacji luzują, kiedy śmierć odda im trupa do pożarcia, baczne, aby jednej nie stracić chwili, aby wyrwać swą ofiarę z rąk miłości i poświęcenia, któreby to męczeńskie ciało oddało matce

ziemi, za którą walczyło, za którą zginęło! Pomiędzy obrazami boleści, których sztuka mnogo nam dostarcza, żaden mistrz nie podjął dzieła odzwierciedlenia umierającego powstańca z tym wyrazem, który duszę boleścią a serce niezgłębionym żalem napełnia! Żadne pióro mi znane nie skreśliło uczuć i wrażeń tego konającego męczennika, wśród samotności i trwogi, z żalem i tęsknotą, boleścią i żałobą, nikt dotąd nie opisał tego podwójnego męczeństwa w jednej istocie!

Na polach walk, w morderczym boju, rozwścieklony żołnierz rzuca się na brata, istna Kainów rodzina, pragnąca wytepienia. Słudzy społeczeństwa, podpory bogactwa krajowego, silna młodzież, pełna nadziei, dzieci jednej matki, członkowie gromady chrześcijańskiej, dla idei częstokroć błędnej i szkodliwej, dla widoków osobistych panującego, chwytają za broń i gdyby o najszczytniejszą myśl, gdyby za własną ojczyznę, krociami giną, przepełnieni sztucznie zaszczipioną zemstą i nienawiścią.

Głoszą nam do syta, że kroczy ludzkość na drodze nieustającego postępu? Postęp — to zgoda, miłość, bratanie się narodów, wspólna praca, wymiana produktów, polepszanie bytu, uszlachetnienie człowieka, uzdolnienie go do używnia najobszerniejszej wolności. Postęp, to źródło wiedzy i rzeczywistej nauki, to skarb, z którego dozwolono ludzkości czerpać bogactwa. Postęp — to dobroczynna matka niedozwalająca krzywdy, garnąca wszystkich pod opiekuncze swe skrzydła.

Za czasów pierwotnych występowały jednostki do

boju wybrane, ofiarą życia zdobywały dla swoich oswobodzenie, później tworzyły się walczące zastępy, wszakże ludność nie brała udziału; nareszcie gromadziły się walczących tysiące.

W imieniu postępu dziś rządy gromadzą krocie młodzieży, uzbrajają i trzymają jak kosztowne kundysy na sforach, aby je na wroga puścić — wszakże nie puszczają. Ludność nie powiększa się w miarę potrzeby produkcji, pod brzemieniem ciężarów upadają kraje, skarby wycieńczone, długi jak u utracjuszków, pieniądź w rzeczywistej swej wartości stał się mrzonką. Potęga rządów osłabła, dynastje się chwieją, niezadowolnienie rośnie, ubóstwo się wzmacnia, źródła dochodów wysychają, a wojska europejskie ssają bez przestanku, jak wampiry, najżywotniejsze soki ludzkości. Rok po roku mija, dziesiątki lat upływają; sierdzą się i zżymają jedni na drugich, grożą i godzą się, oszukują i podstępami wojują, a miliony żołnierzy, gdyby pasorzyty, z pracy pozostającej ludności czerpią swe pożywienie.

Nagromadziły się węzły gordyjskie, które rozciąć wypada, rosną i potężnieją one, krocie mieczów czeka, węzły europejskie przecież nieruszone! Zaiste, to nie dobroczynny postęp, postęp w mechanice i naukach nie zadowolni ludzkości, ona wymaga postępu w ekonomji politycznej i społecznej, w nauce chrześcijańskiej, opartej na miłości bliźniego i bezwzględnej sprawiedliwości. Niema odwagi w rządach do rozcięcia węzłów, a broń trzymana w pogotowiu niszczy, wycieńcza pod-

danych, rozpowszechnia ogólne nieukontentowanie. Ubóstwo i potrzeba prowadzą człowieka do zbrodni, w tych samych źródłach znajdują rzędy trucizny. W niebezpiecznych chorobach tergiwersacja, to przywołanie śmierci; czują wszyscy straszne zarodki, nikt wszakże skalpeli użyć nie śmie.

Powróćmy do kruków. Gdy ogień morderczy dzieśiatkuje żołnierzy, piekielne gromy przerzedzają szeregi, jedni zastępują drugich, aby zastępy śmierci powiększyć. Opodal lekarze, chirurgowie i apteka, dalej gromadka tych, którzy grzebać będą przyjaciół i nieprzyjaciół, w wspólnym grobie, w wnętrzu ziemi, gdzie przynajmniej zgoda i spokój. Czarne ptaki, uosobistniona ostrożność, w oddaleniu czekają, radośnie krakając nad śmiercią, rozkoszując się w myśli nad gotującą się uczą.

Noc się zbliża, ogień gaśnie, wiatr dymy rozpędza, pole zasłane ludzkimi trupami. Pozostali, wyćnięci walką, pytają, pocóż tyle ofiar, za co tyle śmierci? Nikt sobie odpowiedzieć nie umie, wszakże żyjący dowiadują się dnia następnego, że traktat podpisany, zgoda zawarta, wojska powracają do domu, jednak pod bronią pozostać muszą, bo w stosunkach nic się nie zmieniło. Korzyści żadnej, jedynie tysiące żołnierzy przeniosło się w świat niebieski, poniosłszy śmierć za ideę obcą.

Noc po walce, olbrzymi to anatomiczny warsztat, jęki boleści, przeklinanie kierowników, wołanie o po-

moc za migającymi się światełkami, noc nieskończona dla cierpiących.

Nim słońce wychyli się z za pagórka i nieśmiało pierwszymi zabłyśnie promieniami, już nadlatują kruki, szarpią mundury, dobywając się do ciał walecznych. Niejeden jeszcze żywy odgania natrętnych; kruki ulatują przed żyjącymi, napadając na trupy. Nareszcie coraz więcej żołnierzy chowają do ziemi, ptaki zaś żarłoczne przeszukują zarośla, gdzie ranni się zachołgali, aby pod krzakiem w spokoju Bogu ducha oddać, i tam w skrytości rwą szmaty z ludzkiego ciała.

Równowaga w przyrodzie wymaga, aby jedne żywotki drugie niszczyły; jedne żyły drugimi, świat ten bowiem jest polem nieustającej walki, pożytecznych ze szkodliwymi, świat jest tym ogromnym cmentarzem, na którym między innymi służalcami czystości kruk jest grabarzem, czyszcicielem ziemi i powietrza. W środkowej i zachodniej Europie pełni służbę sępów i ścierwojadów, na wschodzie tych rzeczywistych dobroczyńców, bez których pomocy kraje południowe nie pozbyłyby się nigdy dżumy z powodu wyziewów zabijających, pochodzących ze ścierv niepochoowanych.

Ptaki w dzień objadają z grubszego ciała, w nocy dojadają je drapieżne ssaki, za temiz pożerają padliny mirjady drobnych owadów, żuków, rozliczne zastępy skrzętnych i pracowitych mrówek, do tego stopnia, że ta służba pogrzebowa atomu nawet nie zostawi, drobne kości na pył stoczy.

Podziwienia godna jest ta instytucja higieniczna

od Opatrzności zorganizowana w każdym kraju, w każdej okolicy, o każdej porze i w każdej chwili zawsze do służby gotowa.

Po zjawieniu się ciała bez życia, w tym momencie śpieszą ci urzędnicy zdrowia usuwać z pięknego bożego świata to, co szkodzi i zanieczyszcza.

Śmierć dla wszystkich bez wyjątku nieunikniona, wymaga natychmiastowego pogrzebu. Opatrzność w swej doskonałości przygotowała wszędzie groby, wszędzie grabarzy, którzy bez przerwy w dzień i w nocy służbę pełnią. Część drapieżna przyrody, to oswobodzicielka ziemi; żyjątka przechodzą w żyjątka, śmierć jednych daje życie drugim; śmierć i życie równoważą się w podziwieniu godnym procederze. Rozpoczynając badania przy lwie i tygrysie, wilku i lisie, posuwając je przez gromadę ptaków drapieżnych, kończąc na owadach, z których ostatnie oku ludzkiemu niewidzialne, wszędzie widzimy pożyteczną walkę, wszędzie życie i śmierć, cmentarz i groby, wszędzie uporządkowaną służbę pogrzebową.

Jak okiem badawczym zasięgniesz, grabarza nie odkryjesz, zanim zaś trup w rozkład przejdzie, pojawiają się oswobodziciele, zwołują drugich i w jednej chwili ślady śmierci usunięte. Szukaj na horyzoncie, na ziemi, w rozpadlinach lub na drzewach, nie znajdziesz Bożych grabarzy; rzuć ciało, a spostrzeżesz przed upłynieniem doby tych pracowników od dołu i od góry, którzy niszczą i usuwają smrodliwą nieczy-

stość, po ukończeniu zaś roboty tak jedne jak drugie znikają, niosąc w inne miejsca pomoc.

Zdumiewa się człowiek nad tą organizacją, której żadna sprężyna nigdy ruchu nie odmówi, nie da ona się wytłumaczyć ani zmysłem woni, ani instynktem. Tak być musi — świat Boży tego wymaga.

Gdyby ludzie pojęli co pożyteczne i dobre, gdyby nabyli wytrwałości ustalonej do nieustającej pracy, jakżeby nasz świat społeczny był niebawem spuryfikowany, kroczyłby ku doskonałości na drodze obowiązku i poświęcenia, usuwając co złe i szkodliwe.

W społeczeństwie, niszczycieli bez liku, lecz zniszczenia na pożytek obrócić nie zdołają; niszczą dla niszczenia, bo niszczą bez przewodniej, zasadniczej idei. Są między nami drapieżni, i cóż za ślad zostawiają? Łzy i zniszczenie, nędzę i próżnię, krzywdy i bóle, smutek i żalobę, popłoch i zniechęcenie, martwość i obraz śmierci. Niszczyciele ludzcy niżej stoją w przyrodzie jak najdrobniejsze owady; nimi kieruje złość i zawiść, owe pobudki odwieczne do złego, wolnej swej woli na pożytek obrócić nie umieją.

Gdzie tylko kruka spostrzeżemy, pewnie być musi śmierć, trup, ofiara i szkoda. Lśniący grabarz do tego przeznaczony, widok jego smutkiem i trwogą napędza, mimowolnie wzrokiem szukamy, gdzie leży ponęta dla niego. Zawsze mnie on straszy, przypomina złe chwile w życiu, nieprzyjemne epizody.

W dniach śnieżnych, w czasie polskich zadymek, gdy podróżujący stracił kierunek i błędzić zaczyna, gdy

niebo ciężkie i chyli się ku ziemi, w postaci brudnej mglistości, gdy nareszcie ze swego olbrzymiego pyłta sypać zaczyna lodowatą mękę, a noc brzemienna w niebezpieczeństwa nadciąga i trwogą serce napełnia, najczęściej słyszysz złowrogie krakanie, ujrzysz cień czarnego ptaka, który się twem nieszczęściem raduje, pomny, że twa śmierć życiem mu być może.

W czasie burzy, tego gniewu niebios, jakże strasznie wtorują krakające kruki i te czarne cienie, snujące się pod obłokami, dodają żalobę do żaloby.

Ptaku złowrogi, proroku złego, towarzyszu nieszczęścia, wszędzie jesteś, gdzie śmierć zaskoczyć może; zaryłeś mi się na zawsze w pamięci!

Noc niedaleka, okolica nieznaną, odludną, sklepienie niebios kirem okryte; pruje się zasłona, wytryskuje z rozpadlin ogień niebieski, w sercu niepokój, smutek nieopisany duszę ogarnia, ręka szuka mimowolnie pomocnej ręki, wszędzie cisza, świat wymarł, pozostałem sam. Zdaleka niebo mruczy, wiatr szumieć poczyną, wierzchołki drzew tulą się do siebie, ptactwo kryjówek szuka, wszystkie żyjątka u siebie, więc bezpiecznie, grzmot za grzmotem w drzewa bije, wszystko złe w powietrzu działać rozpoczyną. Nadlatują dwa ptaki zniszczenia, spostrzegły mnie, zakrakały na siebie, wskazując na zabłąkanego, krążą nademną i dziwią się, świstem lotu ponad wierzchołki drzew szyją, odlatują i powracają, jak gdyby zobaczyć chciały, co się zemną stanie.

Minęły mnogie lata, a ja pamiętam jeszcze jednego kruka, który w złej doli mi towarzyszył.

III

Długie lata pragnąłem badać w ojczyźnie lęgu szczudłatych ptaków i mew, ciekawy byłem poznać nadbrzeżne lotne mieszkańce, w tych zaciszach pustych i biednych, gdzie rzadko zajrzy chciwy zarobku człowiek. Wkońcu zdołałem urzeczywistnić moje życzenia. Tu wrażenia inne. Ptak w powietrzu ożywia świat, ruchliwe morze kołysze myśl, rybka pluśnie, rzuci się za nią mewa, uderzy, złowi lub chybi ofiarę, żałośnie się skarży, że jej się nie powiodło. Dymi parowiec hałaśny, ten mglisty wędrowiec morza, dalej rozpięte trójkątne płótna, tu stoi łódź i sieć zarzuca, tam szybuje inna z pośpiechem szukając rybnego miejsca, ciśnie szczególnie na morzu, pisk i wrzask w powietrzu. Około wyspy Rugji, morze zarzucone odludnemi wysepkami, na których samotny stróż morza mieszka, przewodnik okrętów. Skały rozrzucone, wąskie języki lądu, wysepki będące w czasie burzy pod wodą, wszystko ptactwem zapełnione, ono nie zna niebezpieczeństwa, nie straszy się człowiekiem.

Kruki nadbrzeżne Danji, Szwecji, Norwegji i Grenlandji, nawet północnych Niemiec mają zwyczaj od-

mienne, zupełnie inny tryb życia. W rozmiarach ptaka nieco różnicy, wszakże to zawsze ten sam kruk złodziej i rabuś, jak w słowiańskich krajach. Te to odmiany spowodowały niejednego autora do tworzenia gatunków osobnych lub stałych odmian; mamy *Corvus groenlandicus*, *septentrionalis* i t. d., wszakże według mego doświadczenia żaden z tych ptaków nie ma cechy odrębności, dla którejby go można pasować na gatunek. Holbvell i Pulsen nazywają tego kruka nadbrzeżnym, *littoralis*, z powodu chowania się przez cały rok nad morzem. Nawet uczony profesor Nilson uważa te kruki, jako zasługujące na osobne miejsce w ornitologii, czego wszakże przyznać nie mogę. Już z badanych i ubijanych okazów, już z porównanych po zbiorach północnych miast, nie różnią się ani stale, ani dostatecznie, abym mógł widzieć odrębność zupełną. Że kruk ze wszystkich nam znanych europejskich ptaków, najdłużej żyje, nie podlega żadnej wątpliwości, wszakże czy żyje lat 100, jak apodyktycznie twierdzą niektórzy badacze, twierdzić nie śmiem.

Życie badawcze człowieka za krótkie i zanadto rozerwane, aby doświadczeniem stwierdzić to badanie; szkoda że Matuzalem nie był badaczem, byłby nam mógł dokładnie wykazać wiek kruka. W czasie mego życia, tak na wolności jako też pod opieką człowieka, spostrzegałem te same kruki przez lat kilkanaście, wzrastające w rozmiary takie, że porównyując jedno lub dwuletniego kruka ze starym, można mniemać, że to dwa gatunki, chociaż ten sam habitus, jeden od

drugiego różni się o $\frac{1}{3}$ część. Stary kruk olbrzymieje, dziób się przedłuża, nakrywy nozdrzy z włosią gęste i długie, korpus większy, mniej wysmukły, nogi silniejsze. Zdarzało mi się ubijać kruki tej wielkości jak orlika (*Anaevia*) czyli orła krzykliwego, co w nim musiało być rozumu i doświadczenia, a co ofiar na sumieniu, pewnie więcej jak wszyscy Kartusze i Rinaldini ich mieli. Pomimo tych znacznych różnic wszystkie kruki europejskie należą do tego samego i jednego gatunku.

Nadbrzeżny kruk, istny majtek, ptak nadmorski, wychował się nad morzem, żył swobodnie morskimi przysmakami i zginął nad morzem, przyzwyczajony do tego pożywienia, prawie nigdy w głąb kontynentu nie zalatuje. Obiera siedziby na wysokich drzewach, gdzie tych nie znajduje, przebywa i gnieździ się na nagich skałach i w rozpadlinach tychże. Nieraz postać czarna siedząca w obserwacji na wystającej z morza skale, może badacza w mniemanie wprowadzić, że to nie kruk lecz kormoran (*Carbo cormoranus*). Zawsze rozumny i przebiegły, wszakże nad morzem jest on w zwyczajach odmiennym. W czasie przybywania morza niewidzialny, wie doskonale, że to godziny, w których mu doświadczenie wskazuje odpoczynek. Gdy morze ustępować zaczyna, już jest na brzegu, aby nic nie stracić co morze wyrzuciło, chodzi i skacze, zabiega do wody podnosząc ogon, aby go nie zamoczyć, mniemałby kto, że to ptak nadbrzeżny. Wszystkie wyrzutki morskie, żywe i zdechłe ryby, raki morskie i t. d. stanowią jego

pożywienie. Większe i mniejsze muszle, dzióbem zręcznie rozłamuje, pozazdrościłby mu ostrygojad i smakosz paryski; gdy zaś muszla za twarda i zanadto spojona, bierze ją w dziób lub łapy, wznosi się w powietrze, wymierza tak, aby na skałę spadając trafiła, i puszcza ją, lecąc za nią na dół. Jeżeli się nie rozbiła, powtarza to rzucanie, dopóki nie pożre soczystego przysmaczka. Ma on jeszcze i inne zwyczaje; pełen rozważli i roztropności oraz i myśli o przyszłości, zabiera z sobą, czego nie był w stanie skonsumować, zachowując na chwile głodu to pożywienie, które chowa po drzewach, skałach lub w ziemię zakopuje. Wśród burzy niespokojny, jak gdyby był niecierpliwy, koniec bowiem burzy to uczta dla niego. Badacze fauny grenlandzkiej opisują wycieczki kruków za myśliwymi na reny. Ptaki się przekonały, że Grenlandczycy, zdejmują skóry z renów a najczęściej mięso zostawiają, więc lecą, oczekując końca upragnionej operacji.

Zmieniły się krajobrazy, odwieczne drzewa zwały się, chciwość zaś nie dozwala starszym pniom rozrastać się na zdumiewające oko ludzkie olbrzymy; odludne dawniej miejsca opanował dziś już człowiek, para przenosi go pędem błyskawicy z miejsca na miejsce. Niebawem balonem pruć będzie powietrze; wszędzie myśl zdobywcy i zarobku prowadzi niepokój, nawet na skały pognano; gdzie przez tysiące lat ich mieszkańców nie widział człowieka, teraz lotne żyjątka płoszone bywają corocznie. U nas bagna osuszone, góry ogołocone, człowiek skrzętnie zabiera, a tak rzadko

przyrodzie oddać czuje się obowiązany, czerpie bez myśli, że wszystko wyczerpanem być może i że niebawem brak wody i drzewa chłostać będzie ludzkość europejską. W społeczeństwach zmieniły się stosunki i poglądy; styczność ustawiczna, konieczność zbliżenia ułatwienie komunikacji, obudzenie interesu, potrzeba wymiany i porozumienia, tworzy roje snujące się wszędzie. Stopień gorączkowego niepokoju, objawiającego się w ustawicznym ruchu; wiek nasz materjalizuje człowieka, potęguje umysł, zespaja zdolności jego ku zaspokojeniu wzrastających potrzeb. Siły się łączą, koncentruje się pomoc, otwierają się w złoto obfite źródła; bystrość człowieka jak struna wyprężona, tworzy stowarzyszenia, w których się społeczeństwo rozpada i łączy, aby zadowolnić pragnienie niczem nieugaszone. Zasady i uczucia, religja i miłość chrześcijańska, czułość i poświęcenie, pomoc i bezinteresowność, szczerłość i prawda, to trabanty, które istnieć mogą, lecz naodwrot wpływu nie wywierają. Są to ozdoby człowieka, które przyznać wypada, gatunek jasnej aureoli, którą jeszcze podziwiać można, wszakże dla męża naszego wieku wcale nieobowiązująca. Zasady to interes, uczucia to mrzonki dziewczęcia, religja to rozum, poświęcenie istna strata, pomoc, o ile wzajemna, bezinteresowność, głupota młodociana, miłość to poezja, szczerłość to niezręczność — prawda, o ile interes jej wymaga.

W zarozumiałości swej oddala myśl o Stwórcy, opierając się wyłącznie na potędze rozumu i własnej

sile. Bogactwo i zaspokojenie wzrastających potrzeb, *auri sacra fames*, oto hasła, oto cel ostateczny, otrzymać go i zbrodnią, byle kodeks karny ominąć. Czy zaś świat dążący do bogactwa otrzyma je, czy to bogactwo na papierze oparte, trwałem być może, czy dążności te uszczęśliwią społeczeństwo i uszlachetnią je? Czy proces odbywający się pod przewodnictwem szatana, uzacni i utrwali rodzinę, tę podwalinę odwieczną ludzkości, o tem zaiste wątpić wypada.

Kruk w swym niepospolitym rozumie, stopniowo do zmian się zastosował, bez trwogi przypatruje się bieżącym pociągom, spokojnie ze skały swej siedziby nadmorskiej spogląda na dymiące parowce, prujące ocean w różnych kierunkach; nie znajdując już odwiecznych drzew, ściele gniazdo na młodszych, nie mając skał niedostępnych dla człowieka, zamieszkuje w jego bliskości. Wyteżył zdolności, aby i w tych miejscowościach ukryć siebie i rodzinę przed człowiekiem. Rozwaga, ostrożność, zręczność i przebiegłość, oto podpory zachowania rodu kruczego. Świat cały zna go jako największego szkodnika, wroga żyjatek, jako okrutnego i odważnego napastnika, żarłocznego złodzieja, a pomimo tego, kruki żyją i żywią się, mnożą swobodnie, w naszym kraju mniemam nawet, iż liczba ich się nie zmniejsza. Że kruk jeszcze istnieje, przypisać sobie może, że swym rozumem zdobył i utrzymuje swoje stanowisko w Europie, również i temu, że jego mięso nie poszukiwane i ze starego kruka nie do spożycia, nawet przez obłączonych. Dawniej pióra z lotek kru-

czych były poszukiwane i stanowiły artykuł handlu, dziś rynek tychże nie potrzebuje, kruk tym sposobem uwolniony od jednego niebezpieczeństwa.

Kto w samotności zupełnej nie badał świata morskiego, sam z sobą nie zgłębiał tej zapełnionej wielkości, nie czekał cierpliwie na gniew morza, lub wyjaśnione jego oblicze, kto na łodzi lub na brzegu nie zapomniał o ruchu, pracach i przewrotach ludzi, kto nie umiał zamknąć się w sobie i odosobnić a oddać się zupełnie temu nieokreślönemu ogromowi, ten wiele stracił przez niedoznane rozkosze, któremi przepętnia duszę ten mglisty, różnobarwny krajobraz.

Zdumiewające są zaiste zjawiska na morzu, oczy je ścigają w nieskończoność, myśl skreślić pragnie, lecz jej praca to Danaidów móżół. Męczy się i skacze; roz-targniona, skleja zdanie, aby je zmienić, kreśli obrazy, granic im stawiać nie umie, jak czarodziejskim śpiewem kołysana, zanurza się w zadumę, marzy w bezdeni, wraz z falami się wznosi, ściga ku niebu i wraca znów na ten orzeszek, pływający po otchłani. Pojmuje swą maleńkość i słabość niemowlęcia, budzi się, aby znowu zasnąć w tem rozkosznem marzeniu. Zbudzenie dziwne, umysł reasumuje swą pracę, liczy czas jej trwania, czuje zmęczenie, a skutków spostrzec nie może, jednego obrazka, jednej całości w pamięci wyszukać nie może, nic wywołać, nic na pamiętkę zachować. Rozum w gorączkowym trudzie, wyobraźnia rozbudzona, serce pełne uczuć; człowiek czuje, że w dwójnasób żyje, wszakże nic w formę stałą ująć nie może.

Rozum i serce rozplynęły się po firmamencie i morzu, goniąc po tej nieskończoności do znużenia i wtedy tylko, gdy iskra boskości tli w człowieku, gdy ciepło chrześcijańskiej miłości ogrzewa go, wtedy jedynie, w pokorze, widzi się atomem wobec Stwórcy, przepełniony wdzięcznością, wyznaje uwielbienie swe dla dzieł Bożych, przyznać musi, że ich rozum objąć, serce nigdy dosyć pokochać nie może.

Przyrodo, ty arcydzieło mistrza niebios, barwisty świecie, wykończona, a nigdy przez nas niezgłębiona, nigdy niezbadana, jak meteor skarby nam ukazujesz, a gdy chciwie do nich bieżymy, znikają nam jak niebieskie ogniki. I tak XIX wiek ku schyłkowi, rozum ludzki urósł w potęgę, wiedza zolbrzymiała, ludzkość już wszechwładna, a ty nam coraz nowe a nowe światy ukazujesz, uchylasz zasłonę przedwiecznych tajemnic, zawsze masz świeże a niewyczerpane skarby, zawsze otworem je stawiasz dla twych wybrańców, których liczba coraz mniejsza. Ty pragniesz badania z miłości i pokory, a widzisz wszędzie nienasyconą chciwość człowieka, który pychą i siłą rozumu w pancerzu materializmu usuwa miłość, urąga z zasad chrześcijańskich, bałwani się na bożka; temu badaczowi nic nie odsłanis, wiesz, że dla niego potrzeba tylko błota i kurzawy, byle tam złoto znalazł. Jakaś ty piękna w stroju wiosennym, w twym ślubnym ubiorze, gdy pieścisz się z niebem, odzwierciedlasz w wodzie, jak cię podziwiać muszę, gdy w lecie dojrzewasz, a w jesieni stajesz się dobroczynną matką; nasyciwszy twe dzieci po trudach,

usypiasz snem zimowym, aby odpocząć i nabrać sił do prac błogosławionych. Okrywasz się białym całunem, rzucasz na świat cały zasłonę, jak gdybyś człowiekowi rzekła: rozpamiętuj, coś zbadał i przygotuj się na przyszłość, gdy się znów odsłonię i w ślubnej szacie przed tobą stanę i zapytam: czy chcesz mnie badać z miłością, czy chcesz poznać z zaparciem siebie, a wtedy tylko skarby ukazę, magnes przyciągający je: czyste a gorące uczucie!

Jeden z tajników świata, to owe maluczkie obłoczki, które w wnętrznościach swych kryją zagładę, z karłów rosną w olbrzymy, aby niszczyć uraganem, co w swej szalonej podróży napotkają. Koło godziny czwartej majtek mi ręką na niebo wskazuje i mówi: To niedobra chmurka. Rzuciłem okiem w kierunku wskazującej ręki i ujrzałem obłoczek złoto-różowy, istne pieluchy aniołka. Zniżał się i posuwał, nurzał się w błękicie, malał i wzrastał, stawał się przeźroczystym, to znowu gęstniał. Przerzywał się i skupiał, a ja oka oderwać nie mogłem, utopiwszy wzrok w ten zmieniający się obrazek. Mimowolnie myśl zwrotkę powtarzała: Ten obłoczek ma być zarodkiem burzy? To być nie może! A przecież tak było. Złoto-różowy obłoczek, gdyby piękna a zła kobieta, mieścił w sobie zarodki nieszczęścia. Jak lew ze swą ofiarą, tak obłoczek igrał z nami, łudził nas, straszył i uspokajał, na przemiany godzinę całą; nareszcie się zachmurzył, znikł jego rumieniec, złoto zczerniało, nadął się i szedł ku nam groźny, gniewny, lecz cichy. Rozdymał się, skrzydła

wypuścił, hurkotać począł, jak władzca firmamentu wywołuje chmurki, które posłuszne jego woli zpoza morza wysuwają się, szykują jak do boju i niebawem przed nami czarno się robi. Straszny dramat się rozpoczyna! Morze dotąd spokojne zadrżało jak febrą poruszone, fałdzić i marszczyć się poczęło, w porozumieniu z niebem podniosło razem broń. Szum oddalony gdzieś w siódmym niebie, w otchłani pod nami niepokój. Pewnie za rozkazem, zielono niebieska woda, przejrzysta jak czarny kryształ, zwolna się ruszać poczęła, garbi się i wiatrom poddaje; gonią za sobą wodne fałdy, wzrastając w elastyczne walce, dążące ku jednej stronie, a każdy walec uderza mimochodem o łódź naszą. Grzmot i błyskawice powtarzają się bezustanku, popruło się niebo, a z tych rozpadlin dąć zaczął mokry wichur; orkiestra niebios rozpoczęła swój koncert, scena zaś nieprzejrzana przedstawiała widok krew w żyłach ścinający. Morze do szalonego rozkołysane tańca miary już nie miało, fałdy i walce wzrosły na bałwany, a każdy jak potwór morski ze srebrzystą grzywą miotał się i pieniał, jak gdyby przysięgł, że wszystko zniszczy, co napotka. Gonią się bałwany w szatańskich wyścigach, biją o naszą łódź lub nurkują pod nią, wylażąc po drugiej stronie w strasznej swej postaci; niejeden częśc siebie w łódź wleje, inny słabszy rozbija się i oblewa nas, nareszcie najzawziętszy włazi i rozpościera się po środku.

Łódź nasza na morzu, istny pajaczek na skałach tatrzańskich, nie broni się, ucieka, skarży się skrzy-

piąc, bieliznę swą schowała, ster podniosła, aby niczem nie drażnić rozhukanego wroga. Lecz on nieprzebłągany, pędzi, motłoszy, rozbić usiłuje, a łódź posłuszna wygina się, obraca, wrogowi jednak w niczem dogodzić nie może.

Wtem słyszę krzyk przeraźliwy mych Pomeranńczyków. Spojrzałem w tę stronę i spostrzegłem, że cały jeden bałwan umieścił się między nami.

Język pomorzański robi mi wrażenie jakby pochodził z naszego krajowego żydowskiego i zepsutego szwabskiego. Nikt z obcych jednego wyrazu zrozumieć nie może, a tak szybko mówią, że wyraz z wyrazem się łączy.

W tej uroczystej chwili brama Niebios przed oczyma, sąd boży przede mną, rozbrat ze światem, śmierć w bezdeni. Z tradycyjnem uczuciem w duszy pomodliłem się do Boga Rodzicy i usłyszałem majtka mówiącego trochę po niemiecku, wzywającego do czerpania wody. Dopiero wtedy objąłem umysłem ogrom niebezpieczeństwa: w łodzi woda, morze o dwa cale od wierzchu, wlewa nam wodę jak truciznę śmiertelną. Ocknąwszy się nieco, pojąłem potrzebę ratunku, pomimo że wobec tego rozhukanego żywiołu ludzka pomoc, to kadzidło umarłemu. Nie wiem dlaczego przyszło mi na myśl, że mnie ci ludzie do wody wrzucić chcą, aby ulżyć łodzi, bełkocąc bowiem żywo między sobą, ustawicznie na mą osobę rękoma wskazywali. Lecz tu nie było czasu do rozumowania; widząc że wszystkie czerpaki użyte, sięgnąłem mimo-

wolnie do głowy po długi, biały cylinder i jak istną konewką czerpać wodę począłem. Pocciwy kastor godzinę całą służył mi jak gutaperkowe naczynie.

Mokry i skostniały, z kroplami potu na czole, martwemi rękoma od pracy, dalej a dalej wodę wylewać musiałem, z pod oka poglądając na mych Pomeranńczyków, czy złego nie mają zamiaru. Wprawdzie nabitą miałem strzelbę, lecz po owej kąpieli pewnieby mnie była nie uratowała. Wzmaga się orkan, światem szamoce, grzmoty mu wtórują z szumem morza, błyskawice obraz ten straszny iluminują, a my pigmejczyki, jak orzeszki pływające, giniemy wśród fal. Tu i ówdzie deszczu kropla spada, goni jedna za drugą, zlewają się razem, jak druty wolne od nieba do morza. Deszcz zmitygował wicher, lecz bałwany niosą nas ku północy, już brzegi lądu znikają z oczu, a niebawem noc ma zawitać. Ta czarna pani, wśród morza, w czasie burzy to najstraszniejszy obraz, jaki mi się kiedy przedstawił, przeraża, ubezwładnia, niszczy wszelką nadzieję. Widząc że towarzysze moi wrócili do odpoczynku po tytańskiej naszej pracy i ja cisnąłem cylinder, usiadłem w wodzie, nie mając nawet w myśli ocalenia. Nie spostrzegłem, że wiatr nas już w przeciwną pędzi stronę; dopiero gdy się w oddali coś czernić zaczęło, zapytałem, czy to ląd? Odpowiedziano mi, że wprawdzie ląd, lecz temci gorzej, bo tam płytko i skały, a my kierować nie możemy.

Było to wybrzeże wysokie, sosnowem starodrzewem zarosłe, niedaleko Heringsdorf. Nagle usłyszałem

krakanie dwóch kruków nade mną. Krążyły nad łodzią, odzywając się ustawicznie: kras, kras, jak gdybyśmy mieli im jutro służyć za pożywienie. Towarzyszyły nam ciągle powtarzając złowrogie krakanie, a tak nisko nadlatywały, że świst skrzydeł słyszać było; widocznie liczyły i oceniały swe jutrzejsze ofiary. W mgnieniu oka zabłysła myśl, że się wpław do brzegu dostanę. Nie mając wiele do stracenia, jak to mówią o naszych cywilizatorach, po zajęciu uszczęśliwionej krainy, gdzie dziś rośnie bieda a nędza płynie, husz piper na bystrą wodę. Bóg myśli błogosławił, po kilku sążniach zgruntowałem, przewróciwszy się kilkakrotnie, wydobyłem się na brzeg, pieszcząc wzrokiem i rękoma matkę ziemię, którą wtedy nad życie pokochałem. Ukląkszy, Bogu korne dzięki słałem, Patronce kraju naszego wdzięczną modlitwą za ratunek dziękowałem, a słysząc szum i krakanie nad sobą, spostrzegłem kruki, które mnie już za marynatę na obiad uważać musiały. Widać i to okrętowi potwierdzają, że nader licznie pilnują kruki niebezpiecznych wybrzeży, gdzie tylko skały lub drzewa im kryjówek zabezpieczają; snąc tradycja tym ptakom wskazuje łatwe pożywienie, rozum zaś sprowadza je wśród burzy, gdyż ona to trupami wybrzeża zaściela. Gdy znaczniejszej niema ofiary, kruki zbierają rybki, pająki morskie, kraby i to wszystko, co rozszalałe morze wywomitować musiało.

Wszakże muszę skończyć moją historję nadpomorzańskiego Robinsona. Noc ciemna, jakby mokrym mnie okryła aksamitem; z gołą głową, dzwonię zębami,

z zimna tłuką się kolana, wiem dobrze, że do jutra niema ratunku, lecz czy w chłodzie i głodzie wytrzymam, oto pytanie? Gdy tak myślałem gorzko a kwaśno i wzywałem jakiego Piętaszka na ratunek, słyszę nagle mowę ludzką. Nie bojąc się ludożerców, nie wierząc w okrucieństwo wśród cywilizowanych Niemców, wiedząc z doświadczenia, że w parlamentach są pełni okrucieństwa, że pastwią się nad narodami, wszakże że uznając godność pojedynczego człowieka, nigdy się nie znęcają nad jednostkami, śmiało ku nim postąpiłem i po bełkotaniu moich majtków poznałem, którzy kilkakrotnie zarzuciwszy kotwicę, nareszcie łódź osadzili i poszli za moim przykładem.

Posądzali ich niesłusznie; nie tylko że nie liczyli na spadek po mnie, lecz się ucieszyli moim ocaleniem, zorjentowali się w tej chwili i po długiej przechadzce do wsi mnie zaprowadzili. Tam się za Pomorzanina przebrałem i naturalnie świeżych śledzi zjadłem i ryb wędzonych z chlebem, mieszkańcy bowiem tego wybrzeża żyją jak wydry rybami przez cały rok. Zdawałoby się, że im tylko pletw potrzeba, aby połowę życia przepędzać w wodzie.

IV

Przychodzę do obrazków z życia kruków utaskawionych lub w niewoli zostających; są to stworzenia nader zabawne, a ciekawe do badania. Któż ze starszych Krakowian nie pamięta Pollera oberżysty na Szpitalnej ulicy? Typ to był niemieckiego Wirta, mały, krępy, okrągły jak kiszka, dobry, usłużny, nadzwyczajnej grzeczności, przytomny i czynny, pracowity i akuratywny, zdobył sobie znaczne stanowisko w obywatelstwie krakowskim, zostawił po śmierci u znajomych miłe wspomnienie. Dziwnymi drogami doszedł do tego. Gdy w pierwszych latach naszego stulecia austriackie wojska zajęły ten nasz nieszczęśliwy, odwieczny Kraków, po którym obce nogi depcą, jak po publicznej drodze, Poller jako żołnierz stał na warcie. Przy nadchodzących wojskach polskich, komenda załogi uznała za stosowny krok, zawczasu ustąpić. Ostrożność — to podstawa nieśmierci armji; z takim pośpiechem wszakże uskutecznilo rejteradę, że zapomniano zlużować warty. Poller nasz stał, chodził i czekał zlużowania. Gdy zaś objął myślą zmianę dekoracji, jak każdy przybysz do naszego kraju, niepospolitym obdarzony

zmysłem własnej konserwacji, poszedł do miasta, broń i mundur schował, ubrał się po cywilnemu i o zarobku myśleć począł.

Fortuna kołem się toczy. Po kilku leciech znowu wrócili kameradzi, nasz Poller ubiera się w paradę i idzie do komendy. Złożony sąd wojenny orzeka karę śmierci za dezercję. Poller zawsze spokojny i przytomny odpowiada komisji z flegmą: «Przepraszam panów, to nie ja dezertowałem, lecz wy zdezertowali; ja stałem na warcie do chwili nadejścia nieprzyjaciela, lecz sam go bez was wypędzić nie mogłem». Protokoły posłane do ministerstwa wojny musiały tam wrażenie sprawić, gdyż Pollera ułaskawiono. Porzucił raz na zawsze karabin i bagniet, wziął chochlę i nóż do krawania i tych narzędzi do śmierci już z rąk nie wypuścił. Schludny i porządnicki, z zieloną aksamitną czapczką na głowie, z wypukłym a zaokrąglonym brzuszkiem, który spuszczał między krótkie i nieco skrzywione nogi, pracą, oszczędnością i zapobiegliwością dom zakupił, utrzymywał go doskonale, dorabiał się powoli lecz bez przerwy grosiwa, nareszcie w Krakowie się ożenił i pokochał swe miasto, przyjął nasz język i jedynie z Niemcami po niemiecku rozmawiał. Z nami zaś kaleczył, grymaśnie wymawiał, łamał się i nareszcie żaden wyraz już mu obcym nie był; dzieci po polsku wychowywał i stał się tym pożytecznym w naszym kraju *mixtum compositum*, tym mieszańcem Polaka z Niemcem, w którym często napotykałyśmy więcej miłości dla przybranej ojczyzny, więcej zapału, po-

święcenia i ofiarności, jak w rodowitych Polakach. A cóż dopiero mówić o drugiej generacji, która w służbie krajowej za przykład służyć nam może! Niejednego znałem urzędnika polakożercę, komunistę w teorii i praktyce, niosącego pochodnię oświaty, który tak rozświecił nasze stosunki, że ich już sami porządkować nie potrzebujemy. Widywałem niejednego w rozpaczach nad patryjotyzmem swoich synów, mających pozbawić rodziców chleba. Jak dziś, pamiętam żale komisarza: «Z tą federatką mnie w nieszczęście wprowadzi!» Sprawiedliwa Nemesis!

Iluz to zawziętych i zawistnych biurokratów, wydało synów przelewających krew za przybraną ojczyznę! Cześć im, poznali się na męczennicy, pełnej miłości chrześcijańskiej, która wszystkich do siebie garnie, z nimi utyskuje, że okuta sama, swobody im dać nie może, wskazując na przyszłość, powtarza: Ja wolna, dam i wam wolność i swobodę!

Jak w szeregach wojska luki bywają wystrzelowane, tak i w narodzie męczeństwa, przersedza zastępy prześladowanie; ileż porwie nieubłagany wróg, połkną kopalnie, ile przyjmie pusty i zimny Sybir. W miarę tego synowie nasi rosną w siłę, bo się wzmacnia poczucie konieczności służenia sprawie, przebyty czyściec, męką wieku całego, coraz więcej dzieci na rycerzy pasuje. Nie tych szalonych, co bezbronni na wroga się rzucają i demonstracją krwawą, nieszczęściem ojczyzny, chcą zelektryzować martwy, zmęczony zachód, który drzemie rozkosznie, jak smakosz po obiedzie, lecz

tych synów, którzy cierpieć umieją, dojrzewać w powołaniu, oczekiwać cierpliwie tej chwili, w której bogini wojny zawoła: teraz lub nigdy.

Uczyć się i modlić, kochać a pobłażać, jednoczyć a skupiać siły, hartować ciało, oczyszczać duszę, konia dosiadać, bronią uczyć się robić, wygodki szlafrokowe z życia wyganiać, cierpliwości nabierać, krew uspokajać, pracować a oszczędzać, pojmować najgłówniejsze nasze zadanie wzajemnej pomocy, braterskiej miłości — oto co zdobić musi przyszłych rycerzy.

Chęć niepoohamowana zabawy, próżniactwo, odosobnienie, indyferentyzm, włóczęgostwo bez celu, niechęć do nauki, zamięłowanie rozdziału w społeczeństwie, zachowywanie zgubnej odrębności, nadużywanie rozkoszy życia, zwyczaj strojów i wygodek, oto są wady, z którymi nie będą gotowi synowie nasi gdy los zawoła: Hannibal przed bramami!

Choruje bezsprzecznie społeczeństwo jak i jednostki, biada gdy dobrowolnie nabywa zarodków śmierci, a temi są suchoty w młodej, miękkiej i zdegenerowanej generacji. Co uroni z bojowej linii ojczyzna, spolszczeni Niemcy zastępują i znowu stoją Szustry i Szneiderzy, jak skich i wiczów niedosyć.

Wierzyć musimy, że wszystko na równowadze stoi i stać będzie, świat cały jej pragnie, ubywające siły powrócić muszą i to co niegdyś było, będzie. Była wiara pozostała, a zaparcie siebie wzrastało.

Szczególne mamy poglądy na osiadłych u nas Niemców. W handlu, w rzemiośle, w przemyśle, w po-

siadaczach ziemi, jednym słowem, wszystko co inteligentne, w drugiej generacji polszczyje, zapuszcza korzenie w naród i uznaje ten żywy cmentarz za swoją ojczyznę. Nie wzdryga się wraz z nami stąpać krzyżową drogą, leczyć nasze rany, tęsknić i pragnąć, nie waha się wraz z nami dzielić niebezpieczeństwa, cierpieć i pracować.

Inaczej rzecz się ma z ludem niemieckim, którym cesarz Józef Galicję zaludniał. Koloniści zachowali pracowitość, zapobiegliwość, podnosili i podnoszą byt materialny, pokochali swe domki i zagrody, ale poza wieś uczucie nie sięga.

Jak w osobnym gatunku mnożą się pomiędzy sobą, zupełnie jak gdyby dla nich już w kraju kobiet nie było; ta ciekawa *Inzucht* zdegenerowała rasę. Niemcy zmaleli, skarłowacieli, przybrali dziwne kształty i różnobarwne kolory na twarzy; smutni i obojętni dla wszystkich stosunków i kraju, wydają mi się, jak gdyby się zarazić bali, mieszając swą krew z naszą; istni Chińczycy, którzy wiedzieć nie chcą, co dalej za kolonją. Fajka, piwo, zarobek, mnożenie się bez końca — oto ich zatrudnienie, uczucia dla kraju i mieszkańców — żadnego. Patryjotyzm ich w tych słowach się mieści: byle nas w spokoju zostawili, niech się co chce dzieje.

Cóż dopiero mówić o kolonistkach, których pewnie nikt z naszych nie zaślubi. W bliskim pokrewieństwie pokrzyżowane, rodzą się stare, wykształcają pękate, przybierają beczkowate kształty bez świeżości, z piersiami pod brodą, z szerokimi pyskami, niskimi

a grubemi nogami, olbrzymiemi brzuchami, to zaiste nie kobiety, lecz płodne samice.

Mieszkalem długie lata wśród kolonistów i badałem ich życie, nie dostrzegłem nigdy jednego sprzeniewierzenia się rodowi; jednego małżeństwa między kolonistą a Polką lub Rusinką nie pamiętam. Zaiste, rzucił nam Wiedeń ziarno, które plon obcy wydaje, na pożytek społeczeństwa użyć się nieda. Chłop nasz do tej chwili w niczem nie naśladuje Niemca, schludność i czystość, oszczędność, pracowitość i zapobiegliwość kolonisty nie służy mu za przykład. Obok zamożnego, dobrze żyjącego przybysza w wygodnym domku, siedzi biedne i brudne chłopisko, jak w XVI wieku, tuż obok murowanego komina stoi czarna dymna chata.

Lecz wróćmy do Pollera i jego kruka w naszej, pamięci nieśmiertelnego Kuby.

Kuba rozmawiał jak towarzysz, dużo po polsku, po niemiecku nieco, swego pana nazywał z pewnym akcentem i zaraz swe imię dodawał, paplał chrapliwie dzień cały. Istny kelner, gdy powóz zaturkotał, przed oberżystą był Kuba, wołał gut morgen, herein, herein, plątał się pomiędzy nogami wszystkich, a tak zřęcznie, że go nigdy nie przystąpiono. Za gośćmi po schodach skakał, do drzwi pukał, dopóki mu nie otworzono, gdy to zrobiono w milczeniu i on po cichu wchodził, gdy zawołano *herein*, odpowiadał: Kuba, albo krzyczał *herein* tyle razy, że musiał gościa znecierpliwic. Na barjerze ganku siadał, grzał się do słońca, lub na dach wylatywał, gdy promienie już go nie ogrze-

wały, z pełnemi lotkami latał wszędzie. Szczególną przyjemność miał w płoszeniu kawek, wśród które wpadał jak jastrząb, lub podkładał się pod mury, aby którą dzióbnać. W południe zalatywał na dom warjatów naprzeciwko stojący, przypatrywał się nieszczęśliwym, którzy stracili najdroższy klejnot człowieka, przytomność umysłu i pamięć, czy to z uczucia nad siły organizmu, czyli też z wyrzutów sumienia.

Kuba ze wszystkimi poufały, lękał się warjatów, nigdy w ich ogrodzie nie usiadł; pomimo, że dozorczy go przynęcali pożywieniem, on zawsze stronił, zdawałoby się, że pewną odrębność w nich dostrzedz musiał. Przed domem tysiączne wyprawiał figle, droczył się i bawił, za buty łapał, nieraz spodni kawałek uderł i uciekał, uderzony lub zrażony, dąsał się i chyłkiem wynosił. Laski i kija nienawidził, jak bity student; kto te podpory w ręku trzymał, niczem Kuby zwabić nie potrafił. Ulubiony jego przysmaczek były flaczki, które mu na podwórzu wyrzucano i z temi komedje wyprawiał: ciągnął za sobą po całym dziedzińcu, igrał jak pies z chustką, składał na kupy i rozpościerał. Gdy apetyt zaspokoił, wybierał najdłuższą kiszeczkę i leciał z nią na dach, wszystkie rynny były ugarnirowane wiszącemi flakami. Za swoją natrętność brał plagi, to go nie poprawiało, lecz tylko ostrożniejszym czyniło.

Szkody robił znaczne, w kuchni umiał zawsze kęs mięsa ukrasć i z nim uciec. Kucharz, kuchta, dziewczka w pogoń za nim, on piechotą do bramy, tam się zebrał w lot i siadał na murku naprzeciwko domu, kładł

mięso i z triumfem kilkakrotnie wołał: «Kuba», podziwiając swój dowcip. Rozżarta służba groziła i krzyczała na niego, on drwiąc paplał swe wyrazy, a gdy drabinę przystawiono, krúk brał mięso i na dach wylatywał; kradł co mógł, szczególnie łyżeczki od kawy i unosił daleko, chowając po rynnach.

Wypędzano go codzień z restauracji, lecz on zawsze powrócić umiał; gdy parę razy plagi oberwał, siadał za bramą w kąciku, upatrywał wchodzącego obcego człowieka i za nim jak kula do sali wpadał, chowając się spiesźnie pod piec. Upatrzawszy ponętny kąsek pieczeni, wylatywał na stół, porywał z talerza kawał mięsa, często ze strachu zostawiając co innego i w mgnieniu oka był pod piecem. Jak dziś pamiętam oburzonych gości, wygadujących różnemi językami na Pollera i na kruka i robiących obławę na Kubę. Kuba między stolki, pod stół lub kanapę, na drążek od firanki i do drugiego pokoju; goście stolki przewracali, talerzami rzucali, szklanki tłukli, wygadując przekleństwa na kruka, który ujrzawszy otwarte drzwi, umiał się zręcznie wynieść. Co to był za gwar i hałas! Do tego zafrasowana mina Pollera, jedni się do rozpuku śmiali, inni zaindyчени byli, a najczęściej szkoda bywała znaczna. Jak dziś pamiętam poważnego Niemca, jakiegoś może handlarza, który pompatycznie wchodząc zapowiedział, że jeżeli ten ptak w sali oberżowej będzie, on już nigdy do oberży nie zajędzie. Kelner na to, że kruk zamknięty; nie wyszło godziny, kruk już w sali nową zrobił szkodę.

Nietylko grzechy w sali popełniane i w kuchni kradzieże, które niejednego sługę chleba pozbawiły, lecz jeszcze inna przyczyna Kubę w niełaskę wprowadziła, mianowicie, że rano wstając, chodził od numeru do numeru i pukał. Więc budził i nie przestawał pukać, dopóki zaspany podróżny nie zawołał herein, on wtedy odpowiadał «Kuba», i szedł dalej pukać po drzwiach gościnnych.

Kradzieże w ten sposób odkryto: kruk nosił na rynnę świecidełka, wszystkie jakie tylko napotkał i chował je blisko kosza, gdy zaś po kilku leciech kupka znaczne przybrała rozmiary, spadły rynną skarby kruka na podwórze. Posłano na dach i wszystko Kubie zabrano.

Nadeszła ostatnia chwila naszego faworyta, trafił się Prusak i wziął Kubę do Wrocławia.

Wtedy pociągi odchodziły z Mysłowic, lecz nie z Krakowa, więc kruka w kojcu szybkożozem wieziono, a stamtąd pojechał koleją. Po 48 godzinach nasz Poller jeszcze drzemał, kiedy rano puka ktoś do drzwi z natarczywością. Z gniewem więc woła herein, kruk odpowiada: «Poller Kuba». Rozczulony właściciel przyjął wygnańca, upieścił i od tego czasu już się z nim nie rozłączył, wszakże zamykał go na noc i w południe, a rewidowano jego kryjówek po każdej szkodzie, do czego był odstawiony kominiarczyk. Opuściłem wtedy Kraków i nie wiem jak długo Kuba broił, bawił i żył w mem rodzinnem mieście i co się z rozumnym

i pociesznym ptakiem nareszcie stało, gdyż go już w 1861 roku nie zastałem.

Drugi kruk, własność zasłużonego badacza przyrody, Konstantego Pietruskiego w Podhorcach, równie zasługuje na życiorys. Przez lat kilkanaście był towarzyszem właściciela, rozmawiał z nim, pieścił się i droczył, chodził wszędzie na spacer, nawet i w las daleko, żaden pies tego rozumu i przywiązania okazywać nie może, co nieodżałowany ten kruk.

Kruki zmyślne uczą się same mówić, niemiecki język im szczególnie do smaku przypada; słyszałem ptaki, które donnerweterowały jak kaprale koło Wiednia. Naśladują krzkanie ludzi, szczekanie psów, gruchanie gołębi i t. d. Nieraz kruk wymówi taki wyraz, że w podziwienie wprowadzić musi, pojąć nie można, gdzie się go nauczył, strzedz go trzeba jak chłopczyka, aby nie słyszał nieprzyzwoitych wyrazów. Lubi się kąpać w czasie upałów, daje się wodą zlewać, nadstawia różne strony swego ciała, aby wszędzie zmoczonym został, a po kąpieli leci lub idzie się suszyć na słońcu. Przy pieszczotach mruczy jak kot, rozkoszuje, gdy się go po głowie drapie; prześladowany bywa bardzo rozbawem.

W chowanych krukach jeszcze więcej różnych odmiennych charakterów dostrzegać można, jak w innych gatunkach ptaków, pomimo, że zawsze rozumem się odznacza. I tak widzimy kruki, które nad tem tylko przemysłiwają, aby szkodę zrobić, pełne są okrucieństwa; natarczywością lub podstępem zabijają gołębie,

drób, psięta, prosięta, ptaki po klatkach duszą, niekoniecznie swe ofiary pożerają. Kruk jak gdyby znał rachunek sumienia i uczył się katechizmu, doskonale wie, kiedy psotę zrobił, wynosi się chyłkiem i chowa na godzin kilka. Bywają kruki, które chłosta poprawia, inne muszą być zabite, jako niepoprawni rozbójnicy. Inne znowu zadowolone wydzielonem pożywieniem, nie rzucają się na żywe stworzenia, żyją wśród drobiu, dzielą się ziarnem, z psami o mięso i kości walczą z odwagą niepospolitą. Najczęściej psy ustąpić muszą, różnemi figłami je zabawi lub odstraszy, porwie co było i ucieknie pieszo lub lotem.

Znałem kruka, mędrca swego rodu, swobodnie latał sobie przez lat kilka, po całej wsi szkodę robił, z dachów wydobywał długą słomę i z nią latał igrając. Przed karczmą w dni targowe stawiał się regularnie i obroki rewidował, każdą świnkę z owadów obrał; pomimo leśnej okolicy nie dał się przez towarzyszy namówić, wabiącym odpowiadał, w zimie był z nimi w zażyłości, wszakże swe sztuczne polubił życie i wsi nie opuszczał. Niewyliczyłbym psot, figlów i kradzieży tego kruka, zawsze tak zręcznie wyrządzanych, że oprócz przekleństw nic nie oberwał i szczęśliwie się uchwował długie lata. Wszakże przyszła kryśka na Matyska w następującej sprawie. Było kilku garnicarzy, którzy garnki wypiekali; zanim wyschły, leżały one lub stały setkami przed piecem; kruka to niezmiernie bawiło, przypatrywał się, jak z kawałka gliny wychodzi gotowy, gładki garnek. Zdaje się, że chciał się przekonać, co to jest

i jak się to robi. Gdy garncarz odszedł, zleciał jednego razu, przypatrywał się formie, drapał i dziobał glinę, nareszcie poskoczył do świeżo ulepionych garnków, i każdy dziobem uderzył. Zrobiwszy we wszystkich podobne dziury, wyleciał na dach i radośnie krakać począł. Znali to krakanie po popełnionej psocie wszyscy; garncarz wybiegł, a zobaczywszy dla siebie nieobliczoną stratę, rzucił na kruka dnem garnka i złamał mu skrzydło. Ptak żył jeszcze kilka miesięcy, pokazując każdemu złamane skrzydło. Posmutniał, pierze straciło połysk, przestał się bawić, szukał ciepła, i jednego dnia nad ranem zdechłego kruka znaleziono.

W zamożnym domu chował się mądry i śmieszny krucio, wszędzie go pełno było, kradł znakomicie a tak często, że mu dozorcę dodano, aby o ile możliwości pilnował złodzieja i zabierał schowane skarby. Szczególny miał nałóg, prawdziwy nałóg, gdyż pomimo kar otrzymywanych, zawsze ulegał pokusie z niepospolitą złością. Dom był ludny, kilka panien, gości pełno, huczno i ludno, ogród parkowy, klomby i gęstwiny. Polubił to miejsce krucio i tam przebywał, zrywając kwiaty, tłukąc szlanne banie, wykopując najrzadsze rośliny. Był faworytem, wszystko mu wolno było. Miał niepohamowany pociąg do białych pończoszek, nb. na nogach, gdzie jakie zoczył, dziobem jak kleszczami delikatnie skubał, nigdy nie dziobnął. Można sobie wystawić popłoch, krzyki, chichotanie i różnorodne sceny po takim zajściu. Oberwał parasolką, kawaler usłużny laską go przeciągnął, nareszcie w pewnych godzinach

zamykano do dużej klatki psotnika. Nic nie pomogło, krucio do pończoszek miał namiętne zamiłowanie, wykradał się, krył się po krzakach i zawsze mu się udało dotknąć nóżki. W ogrodzie wiele robotnic bywało, czerwone wieśniacze łydki nie kusiły go i obojętnie na nie patrzył, lecz cienka pończoszka na szlachetnej nóżce, od zmysłów go odprowadzała. Jak te panny skakały, uciekały, jak znowu krucio umiał korzystać z zasłon i jak zręcznie swej słabości dogadzał, nie dając się nadeptać, to manewr podziwienia godny.

Ze wszystkich znanych mi kruków, najznakomitszego złodzieja opisać muszę. Kradł wszystko co spotkał i co unieść mógł, był powodem wielu łez, posądzeń, utraty posad, nieporozumień, poszukiwań i rewizji. Nareszcie wypatrzyli kruka, jak pod różą zakopywał jakąś srebrną nakrywkę. Zagrzebał, siadł na barjerze i krakać zaczął; czekano długo, czy gdzieindziej nie polecą i nie wskażą innych swych kryjówek. — Napróżno — pilnował swego skarbu godzin kilka; niecierpliwieni wydobyli i pani domu oddali; radość w całym domu, triumf sług, uorganizowane szpiegostwo na kruka. Ten się całej tej scenie z uwagą przypatrywał i jak się zdaje, postanowił zmienić swe plany — niestety zapóźno, chłopiec kradensowy był zawsze za nim jak cień jego. Przed wschodem słońca siadł krucio na barjerze i długo się przypatrywał, czy kogo w bliskości niema; gdy się o zupełnem bezpieczeństwie przekonał, zleciał pod krzak na podwórze, pogrzebał, wydobył świecidełko, obejrzał się do koła, wziął w dziób

i poleciał na rabatę pod okna, zagrzebał i tę czynność kilkanaście razy powtórzył. Gdy zaś ludzie ruszać się poczęli, on spokojnie do swojego zatrudnienia powrócił. Po denuncjacji wydobyto różne kosztowności, lecz na nie szczęście zawczasu kruka ostrzeżono i jedną ledwie część odebrano. Od tego dnia przez kilka tygodni, kruk żadnego miejsca nie wskazywał. Chłopiec wartujący kruka miał polecenie z kryjówki na niego patrzeć, nigdy się nie pokazywać i w niczem nie przeszkadzać.

Odkryto po dwóch tygodniach, że złodziej kradzieże swe daleko w ogród nosił i w klombie zagrzebywał, w zimie zaś, w kupach gnoju — i tak pomału większą część straconych rzeczy odszukano. Najczęściej kruk kradnie ze zwyczaju, zakopie, zapomni, rzadko kiedy odgrzebuje i przenosi, zdaje mi się że zapomina szczególnie wtedy, gdy mu się udaje częste kradzieże bezkarnie popełniać. Tamten zaś kruk dawał dowody ogromnej pamięci i rozwagi; wiedział i pamiętał, gdzie co schował; niejednen roztargniony, który część dnia przepędza na szukaniu rozrzuconych swych rzeczy, pozazdrościłby mu przytomnej pamięci.

Byłto wiek cwancygierów, za czasów Metternicha. Historia go potępiła i słusznie, jednak srebra było wiele w kraju, mieliśmy pieniądze, z którym można było po Europie jeździć; dziś papierowa konstytucja i papierowe pieniądze, z którymi częstokroć można gdzie pod Amsterdamem z głodu zginąć lub rękę o pomoc wyciągnąć. Wtedy pugilaresy były na notatki i listy, w sakwie nosiło się pieniądze, nikt temu z mło-

dych nie uwierzy, a tak było, Austria miała srebro. Nie było to zasługą Metternicha, jego polityka przygotowała epokę papierową; zawsze fakt zostanie faktem, że za jego czasów było srebro.

Gdy krukowi rzucano cwancygiera świecącego lub połówkę, chciwie w dziób chwytał i nosił się z nim w nieskończoność i do chwili, w której miał przekonanie, że go ludzkie nie doścignie oko, cwancygiera nie popuścił. Sam poświęciłem raz parę godzin, aby się przekonać, co z nim zrobi. Poleciał na jeden dach, potem na drugi, do ogrodu i na drzewa, zlatywał na ziemię i znowu się wznosił. Czasem godzinę nie wypuszczał pieniądza, z dzioba, znowu położył, po chwili podnosił, kilka razy gdzieś go zostawił, do domowników bez pieniądza powracał, jak gdyby ich oszukać chciał, wracał i podnosił go, oczywiście miał poczucie, że jest pod dozorem. Ze wstydem wyznać muszę, że nie dopatrzyłem, co mądry ptak z cwancygierem zrobił. Najczęściej, gdy kradzież popełni, z pośpiechem ucieka i tymczasowo kładzie; dopiero gdy pewny, że go nie dopatrzone, idzie lub leci bezpiecznie zakopywać rano lub wieczorem.

Pierwsza myśl po kradzieży jest, dostać się na wyniosłe miejsce, lub też biegnąc rzucić w krzak lub trawę, nie wstrzymując biegu, niby to za interesem idzie.

Bywa też, że złodziej ma wielką biedę z ukradzioną rzeczą, widziałem go z wytartą świecą podkową. Cudów wytrwałości dokazywał, nie mógł do nieść i ulecieć, na wszystkie próbował strony, nie szło.

Więc wzięwszy w dziób, boczkiem skakał i daleko tasczył, obzierając się ustawicznie, czy go kto nie śledzi; nareszcie zagrzebał, a tak się tem umęczył, że pół dnia pokarmu przyjąć nie chciał.

Ma swoje sympatje i antypatje do ludzi i zwierząt, do jednych się mizdrzy i raduje, od innych stroni, a zwierzęta dzióbem atakuje; szczególniejszy ma dar, znajomych i ich głos rozpoznawać, zdaleka odzywa się, gdy wołają na niego. Inne kruki bywają apatyczne, smutne i nieruchliwe; znałem jednego, który rok cały na dachu siedział i jedynie do pożywienia zlatywał. Nauczył się wyrazu: «z a r a z k r u k u» gdy kucharka na niego wołała, on temi odzywał się słowy i zlatywał po mięso, ser twarogowy, gotowane jarzyny i t. d.

Widywałem kruki nieokreślonego okrucieństwa; co złapały, dzióbem i pazurami targały, wnętrzności wydobywały, psom oczy wydziobywały, na wielką zgryzotę gospodyń chodziły za kurami, a w szczególności za pantarkami (perlicami), pilnowały zniesienia jajka i zaraz świeże wypijały. Zakradały się do izb, pokojów, targały kołdry i suknie, najpokuśniejsze były chustki jaskrawych kolorów naszych dziewczek, te z zawziętością targały.

Jeden ze znakomitych kruków, ma kartki wypełnione w mych notatkach ornitologicznych. Oswoił się nadzwyczajnie, a dowody myśli składał codziennie; był własnością ekonoma, budził go ze wschodem słońca, pukając do okna o każdej porze roku; nie poprzestawał pukać, póki nie otworzono. Nieoszacowany był to po-

mocnik w gospodarstwie, niejednen dziedzic drogoby zapłacił podobnego budzika na ospałych ekonomów. Jak pies, towarzyszył wszędzie gospodarzowi po wszystkich stajniach, zwierzęta go nawet polubiły, siadał sobie bez żenady na grzbietach krów i wołów, a jak ekonom w pole ruszył, kruk w locie mu towarzyszył. W czasie żniwa lub sianokosów cały dzień przy robotnikach udawał dzikiego kruka; szukał żuków, łapał myszy, a za pługami pędraki wydobywał; najpociesznniejszy był, gdy raz zwietrzywszy twarogi i chleb, po torebkach, kobiałkach, i zawiniątkach robotnic, zaczął rewidować, targać i wydobywać pożywienie, wywołując popłoch i oburzenie. Co żyło, biegło swe śniadanie uratować; kruk ustępował, lecz zaraz powracał, gdy się oddalono. Przyszło do tego, że każda robotnica przy sobie trzymać musiała ser, chleb lub kartofle, gdyż sprytny ptak z kopie siana i półkopków zboża wydobywał swą zdobycz, wędchem zdaje się odkrytą.

Nigdy nie zapomnę obrazka zarytego z mej pamięci. Wśród biedy wieśniaczej — któż z gospodarzy jej nie zna — pusta izba, stół drewniany, ławka wytarta, skrzynka z bielizną, tapczan z napiętrzonemi brudnemi pierzynami, ruszającemi się z powodu tam ukrytych nawpół nagich dziątek, jedno z kartoflem w ręku, drugie z buzią kwaśnem mlekiem zamazaną, rozczochrane a nieumyte, uosobione zaniedbanie. Zaiście, niczego więcej szczepić nie wypada, jak cnót rodzicielskich w naszym ludzie, umieć być matką — być ojcem — wtedy potrafi się być pożytecznym oby-

watelem społeczeństwa. Dzisiaj kto bada zwyczaje i wady wieśniactwa, spostrzeże niestety, że nie uczono ich obowiązków ojca i matki; dzieci chowa się jak wśród dzikich ludów.

Na kominie, spoczywającym na czterech prętach, tli ogień i liże słabymi promieniami dwa garnki z nakrywkami. W jednym kartofle się parzą, w drugim kiszone barszcz, to nieustające pożywienie bez siły, ledwie wystarczające do utrzymania życia dzieci; na ścianie w drewnianych ramach wisi obraz Najświętszej Panny, z twarzą pyzatą i rumianą, jak mamki zażywej w zamożnym domu. Ubrana w jaskrawe szaty, niema koloru, którego by nie był artysta wiejski użył i w ten sposób dogodził uczuciu kupujących, którzy nie mogą mieć uszanowania dla Panny Marji bladej i cierpiącej, nieszczęśliwej matki bolejącej. Pragną ją widzieć zamożną w stroje, a przedewszystkiem dobrze odżywioną, to tłumaczy zdumiewające czasem bohomy, rozprzeczane po jarmarkach.

W pośrodku izby stoi ciemna kolebka, w niej niemowlę szmatami okryte, blade, spokojne, z zapadłymi oczyma, obraz nędzy dzisiejszej, wyraz przecucia smutnej przyszłości.

Na kołysce siedzi ogromny kruk i kołysze dziecko, spokojny, poważny, istny szatan; zdawało mi się, że usiłuje ululać dziecko, aby je ukraść aniołom. Stałem jak wryty, objąłem obraz oczyma i musiałem długo stać zadumany, gdyż nie słyszałem jak matka weszła i przygląda mi się ciekawie.

Biedne dzieciaki, biedniejsza matka, rodzić w nędzy, karmić w biedzie, pracować do tego ciężko, życie całe gotować, myć i prać, zaiste obrazek z piekła Dantego. Gdy zawołałem z oburzeniem «on zabić może dziecko, oczy wydłubać» odrzekła: «Nie bójcie się je-gomość, on tu zawsze chodzi kołysać dziecko».

Łzami tysiączne obrazy z chaty skreślać można, zawsze obrazy nędzy, niedbałości, obrazy opuszczenia, fatalizmu. Mija 20-ty rok usamowolnienia, otwarcia źródeł zamożności, nagie się dzieci rodzą, nagie chowają, później jak zwierzęta domowe do pracy używane, wyzyskiwane po murzyńsku, śmiercią bywają dziesiątkowane, szkoły puste, bo dzieci dla rodziców zarabiać muszą. Nałogi, zwyczaje, religijne zaniedbanie, gnuśność, apatja, dziwny brak pragnienia do robku, przekonanie, że tak być musi, że chłop do tego przeznaczony, usypianie myśli narkotyczną wódką, oto co jest powodem, że prawa i potrzeba wieku, pasowały wieśniaka na obywatela, on wszakże w nędzy i bez poczucia cnót i obowiązków, żyje usamowolniony. W nędzy, bo nie umiał być synem, nie umie być ojcem.

Ustawy gminne, filantropiczne apostołstwa, prace przewodników, parcie ku zbliżeniu surduta do siermięgi — wszystko się rozbija o zwyczaj, nieruchomy jak skała, urąga postępowi, jak granit nie przyjmuje wpływu. Gdyby Bóg miłosierny chciał chłopca zagrząć, rozczulić, wlać pojęcie cnoty, obowiązku, miłości i poświęcenia, poczucia ojcowstwa, gdyby zagrzane serce dla dzieci bić poczęło, nauczyłyby się kochać,

zmiękłby i powoli, odpadłaby wieczna skorupa pod ciepłem cnoty i uczucia, wtedy dopiero pojęłaby gromada zadanie gminy na podstawie miłości bliźniego, ochronek, szkółek i szpitali. Dziś zaiste gmina składająca się z ludzi bez pojęcia rodziny, rodziców, dzieci, obywateli, bez poczucia braterskiej pomocy, solidarności w tej olbrzymiej familji gminy, przedstawia obraz, który smutkiem i trwogą każdego napełnić musi.

Rodzina — to podstawa społeczeństwa i narodu; gdzie rodziny miłością niespojęne, rozstrzelone bez wzajemnej pomocy, tam zaiste dla przyszłości narodu niebezpieczeństwo; u ludu naszego brak tej gorącej spójni w rodzinie i to powód, że do wyższych celów jeszcze użytym być nie może. Doskonale nihiliści rosyjscy znają doniosłość znaczenia rodziny, usiłują więc podminować podwaliny, wiedząc, że później cały gmach runąć musi.

Niechcę nużyć czytelników opisami rozlicznych kruków, które miałem sposobność obserwować. Gdybym wszystko chciał spisać, co widziałem, stronic dwóch tomów przepełniłbym; byłoby to wszakże nadużyciem, którego się dopuścić zarzekam, a obrazki dalsze byłyby zajmującymi jedynie dla specjalnego badacza. Jednego kruka muszę dać jeszcze życiorys, pomimo że nie znałem go osobiście, wszakże mam szczegóły od wiarogodnej osoby.

Przez długie lata posiadał cząstkowy nieżonaty szlachcic, kruka, którego cenił nad psy, konie, strzelby, nad wszystko.

Gdzie oni się podzieli, ci jednozagonowi, jedno-dworcy, te pozostałości z czasów na kresach, tak nazywani zagrodowi? Jedni przeszli na chłopów, inni poszli na dzierżawy i w służbę, rzadko który się uchował. Miałem do nich szczególny pociąg i odszukiwałem każdego gdzie mogłem, szczególnie nieżonaci i starzy, to były typy ciekawe do badania; znałem ich kilku za młodych lat, chciałem te zabytki przedstawić nieoszacowanemu autorowi Mohorta. Nad takimi egzemplarzami byłby się rozrzewnił, byłby ich nam opiewał tym płynnym wierszem, który nigdy nasycić nie może, zostawiając nam pragnienie nieustające za temi, których jeszcze nie napisał.

Lepianka, wszakże z kominem wyplatany i gliną obrzuconym, pokoik z alkierzykiem, sionka mała z kołkami, na których wisiała borsucza torba, żelaza na lisy i kuny, strzelba, skórki z zajęcy i lisów, trąbka rogowa i ogromna nahajka. Na drugiej stronie kuchnia i spiżarnia, pod powalą drągi, na których kury siedziały, przędzy po ścianach, klucznica zamaszysta, dwie dziewczeczki i parobek. W spiżarni połcie słoniny, wędzonki na kołkach, banie z różnemi octami, jakieś zioła i wianki, zwiędłe korony z kwiatów, beczki z olbrzymiemi kamieniami, chomonta i trendzle, siodło z czaprakiem, kot drzemający na fasce.

W izbie stół dębowy, cztery stołki tak twarde, że mogły nagniotki na siedzibie gospodarza umieścić, gdyby był bibliofilem, łożko z kocami i poduszką z surowej skóry, na stole kalendarz zapisany notatkami

i cyframi, otwarta książka do nabożeństwa z Częstochowy, pomięta i powyginana, podlepiana i poplamiona, brązowego koloru, cecha minionego wieku; oto cała registratura i biblioteka. Na ścianie galopujący Jan III pod Wiedniem na grubym, białym koniu, naprzeciwko Poniatowski do rzeki wskakujący, z podniesioną ręką, w pałasz uzbrojony, nad łóżkiem wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, z drzewa rznięty, na wilczej skórze kurlandzki wyżeł warczy ustawicznie, butów para z olbrzymiemi uszami pod ścianą, na której zegar z kukułką, głośno i regularnie oznajmia sekundy. Naprzeciwko domu stajenka z trzema tęgiemi grubopłaskimi mierzynkami, z których myszak był ukochanym wierzchowcem; pod żłobem skomłące trzy charty, wozownia z wózcikiem, dalej szopka z wozami, a sennie o ścianę oparte. Stodołka ze spichlerzykiem, obora na sześć sztuk rogatego bydła. Na środku ogromnego dziedzińca kupa gnoju, opanowana hurmą kwoczącego drobiu, przy bramie dwie skarłowaciałe topole, buda na czarnego brysia, pod domem dwa krzaki bzu.

Żył swobodnie stary wąsał, nikomu nie zazdrościł, przyzwyczajony zawsze i wszędzie sam sobie radzić. Silny, zdrów i rumiany, musiał mieć herkulesowe płuca, bo ile razy chrząknął, w uszach mi dzwoniło, a jak się gniewał, to strach wszystkich ogarniał. Ile lat miał, tego się nie można było dowiedzieć, był on między ludźmi tem, czem odwieczny dąb w kniei. Sam zawsze siał i modlił się rzucając ziarno; po ukończonym zasiewie krzyż ze słomy na polu układał i bryłkami

przygniatał, aby wiatr błogosławionego nie zabrał znaku.

W szafie gąsiorek z wódką, gomółki z sera z kminem lub anyżem, w szklanym słoju masło; przy obiedzie na misce rosół z pływającym mięsem, kartofle na drugiej, kiedy niekiedy kurak na piecyste. Wieczór stała miska z mlekiem i hreczaną kaszą. Niepojętne, nieprawdaz, a przecie tam rozkoszowałem się jak w raju.

Stary gadatiwus, pamiętał konfederację, spluwał z przeproszeniem, jak mówił o dzisiejszych czasach, Niemca nie lubił i nigdy sam do urzędu nie jeździł.

Myśliwy napastliwy, jakich już niema, wiedział o każdej sztuce zwierzyny, gdzie, o której godzinie siedzi; grzaneczki na lisa robił takie, jak sam mówił, że do sieni przyjść musi, a nikomu tajemnicy do śmierci nie odkrył, upatrywał zające, aż mnie zazdrość brała. Na wiosnę dzikim kaczkom odstrzeliwał kaczorki, mówiąc: kaczka sobie zawsze amanta znajdzie. W czasie polowania, nigdy w domu, światami jeździł, nigdy się złowić nie dał, a wielu też przez palce na ten już zaginiony typ patrzyło z pobłażaniem.

Miał kruka, ten z nim w pole latał i nigdy go nie odstępował, siadał mu na ramieniu i jeździł konno. Gdy się z chartami wybrał, kruk był czwartym psem, upatrywał zające, trzepotał nad nimi, do chwili w której jego pan nadjechał. Gdy pomknął szarak, tuż nad nim leciał i krakał, zająca straszył, psom łówkę ułatwiał. Po złapaniu zająca, zanim go do konia przy-

troczone, kruk dostawał patrochy; biada chartowi, któryby się wtedy zbliżył, raz jednemu oko wydziobał. Na saniach siedział dzień cały, gdy jednodworzec lisy objeżdżał; utrzymywał on, że na znaczne odległości wskazywał mu myszkującego lisa. W kniei siedział w czasie polowania na drzewie i zlatywał gdy zwierza ubito, bo to sobie zastrzegł, żeby flaki jemu się dostawały. Sam w pole latał, łowił myszy, dziobał za pędrakami, do pokoju nigdy nie wszedł, bo z kurlandem na bakier byli. Najedzony, siadał zawsze na dachu stajenki i upatrywał swego pana. Ile razy starzec mi mówił: on wie, co ja myślę i ze mną zawsze na polowanie się wybiera.

Wszystko ma swój koniec na tym świecie i złe i dobre, wielka to pociecha, biorąc przeciętne zdarzeń w życiu naszym; otóż i kruk gdzieś w sąsiedztwie przepadł bez śladu. Szlachcic oczy ręką ocierając, powtarzał mi nieraz: «Mosanie, to zniknięcie kruka, ciężką odpokutowałem chorobą».

Nie posiadając już tych cząstkowych posiadaczy, zdaje mi się zawsze, że sprawie naszej siły ubyło, społeczeństwu ostrogi do działania, że uroniła sprawa pomoc i pamiątkę historyczną. Muszę zamknąć szereg życiorysów kruka tą uwagą, że pomimo dowcipnego i zabawnego zachowania się oswojonych ptaków, są one zawsze niebezpieczne i szkodliwe. Nietylko że kradną, zanosząc częstokroć rzeczy pewnej wartości w niedostępne miejsca, że są powodem posądzeń o kradzież najniewinniejszych, lecz są i być muszą źródłem

nieustającego niepokoju w domu. Może dziecko skaleczyć, oko wybić, psa zranić, w pokojach znaczne zrządzić szkody w obiciach i szatach; kto się jego pracom nie przyglądał, ten nie uwierzy, jaki to szybki i zapobiegliwy krawiec. Dywan w półgodzinie podziurawiony, kołdry jedwabne, szczególnie czerwone, w okamgnieniu potargane, szale, wstążki, chustki porwane. Przewraca lichtarze, siada na lustrach, w globusy lamp, jak w dzwon dzióbem bije, w klatkach ptaki śpiewające morduje, nigdy przewidzieć nie można, kiedy i jaką psotę i szkodę wyrządzi. Kto chowa kruka w domu, ten drogą swą rozrywkę płaci.

V

Kruk biały rzadki, jak genjusz w naszym wieku. Życie me zanurza się głęboko w drugą swą połowę, jak letnie słońce poza lesiste wzgórze; białego kruka nie widziałem, gienjusza na widnokręgu europejskim doczekać się nie mogę. Ileż to społeczeństw chciwie tego białego kruka w ludzkim ciele oczekuje, ileż narodów wzdycha i tęskni za nim, w przekonaniu, że jedynie genjusz wydobyć je może z bezdennej toni! Czarne kruki żarłoczne i nienasycone spadały nieraz, szarpały nasze ciała, w niewinnej krwi maczały drapieżne swe narzędzia, jakby trupa targały i niszczyły, a wszakże oznaki życia nie do zaprzeczenia były i są, przy wzmagających się siłach duch rośnie, naród woła: «ja żyję». Wytrawiony nieszczęściem, oparty na doświadczeniu, wyuczony historją, przejęty przykładami, wychowany w szkole nieszczęścia i srogiego jarzma, zna niebezpieczeństwo, umieć będzie strzedz swych zdobytych swobód, byle się zjawił oczekiwany kruk biały. A my go nazwiemy orłem i pogonimy ku północy.

Niedawno temu jeszcze, a na samo wspomnienie serce się wzdryga, krew stygnie, dreszcz przejmuje, gdy własne kruki za namową obcych kruków szarpały najzacniejsze istoty w znanym nam kraju! Robak czołgający się po ziemi broni się, wiję, gdy prześladowanie czuje, Opatrzność w każdą duszę wiała chęć i moc obrony, w przyrodzie wszystkim obrona dozwolona — jednym tylko na świecie obrona własna zawsze za zbrodnię poczytywaną bywała i poczytywaną bywa. Straszna atoli jest sprawiedliwość Niebios; następują chwile, w których Nemesis niczem nieubłagana prześladowuje za pomysł, karze za wykonanie. Gdzie kroczy, stawia krok niebezpieczny, chwyta się zdradzieckiej ręki szukając pomocy, przebiera w mężach, rzuca wzrok poza siebie i mniema, że przeszłość musi być niezmienną podstawą przyszłości; tylokrotnie zdradzona, wyrzec się jej nie umie. Organiczne części majestatycznego ciała odpadają, Bellona, Minerwa i Mars zagniewane, opieki swej hufcom odmawiają, Temida swe szale opuściła. Maszyna cała skrzypi, funkcjonować się wzbrania, dodają sprężyny, wyszukują majstrów i pomocników, przepisy i rady się sypią, a stary kierat choć politurowany i ozdobiony pseudo-polepszeniami, po dawnemu obracać się nie może, nowego obrotu przyjąć nie chce. Błędna bowiem budowa nieuzupełniona, majstrom brakowało na szczerości, znajomości i na odwadze, mija drugi lat dziesiątek, udoskonalenie czeka na skutki, postęp rzeczywisty podwójnym hamulcem wstrzymany. Usiłują stosować dochody do wydatków,

a to błąd niepospolity; przeciwnie radzi nauka ekonomji, kasy bezdenne pieniędzy utrzymać nie mogą. Trwożą się starsi, dziwią się i radzą. Złemu trzebaby tamę położyć, niebezpieczeństwo groźne. Usłyszano nareszcie, że w małej krainie znajduje się kruk biały do nabycia. Mąż zachodu, niegdyś trzymający losy Europy w ręku, który zbawienne zasady świata głosił, wszakże nie miał ani odwagi ani zdolności do wprowadzenia ich w życie. W imieniu pokoju ustawiczne wojny prowadził, pokoju nie ustalił, stosunki zagmatwał, wystawił się na wielkie niebezpieczeństwa i ku końcowi swego panowania uposażył Europę myślą, którą chciwie w czyn wprowadziła; myśl brzmienna łzami i straszliwymi wstrząśnieniami, wskazując wyniszczenie i nędzę. Dar jego w tych słowach: do ustalenia trwałego pokoju potrzeba krociovych w każdym kraju armji. Wychowany w szkole Delfickiej, przyjął dwuznaczność za godło, długo rzucał bańki mydlane światu, a te brano za kule ogniste. Ów mąż radzi schwycić owego białego kruka, nazywając go Salwatorem. Zbliża poznany, okazał się mniej białym, jak mniemano. Wierna córa Kościoła za namową postępowych mężów osłabia spójnię swą z odwieczną matką, giełdziści wszystkich wyznań znaleźli na swej wędrowce stację bezpieczną, pieniężni i pełni wpływu, rozgłaszają się i rozsiadają. Na przewodników padła niezdrowa mgła, patrzą a nie widzą, działają, jakgdyby sitem wodę noszono, osłabienie się wzmacnia — kruka białego nie widać. Czy ten proceder wzmocni i ustali, czy to droga do poży-

tecznego postępu, bliska przyszłość okaże. Złe popołnione na niewinnych, gorszem karane bywa. Kruka białego, któryby wskazał drogę wiodącą do bogactwa, potęgi i wpływu — nie masz.

W sąsiedztwie zleciały kruki na pobjowisko, niszczą zasiewy i zasoby, wszelkie źródła bogactwa do ostatniej kropli wyczerpują, jak gdyby jutra nie było; niezgodne między sobą targają się i pożerają wzajemnie, gdy ofiar niestaje. Dziwny to obraz: Kościół bez głowy, zostaje z owrzodziałem ciałem, dla jednych narzędziem, dla drugich igraszką, dla innych dochodem, część ledwie setna ze zwyczaju obchodzi ceremonje, gardząc przedstawicielami, tworząc sobie własną wiarę. Straszny to widok, gdy przewodnicy przemieniają się w łupu chciwe kruki, kracząc w różne głosy: zagłada i zniszczenie! Goethe mówi: kara idzie w ślad za zbrodnią. Ziemia się pod nogami im pali, niszczenie widoczne, głód dziesiątkuje ludność, skarb wyczerpany, od dołu do góry nikt życia swego niepewny, jak w przyrodzie jedno drugie pożera, lecz tam śmierć podwójna, życie zaś pojedyncze. W imieniu głoszonego postępu — zniszczenie i zbrodnia.

Kradzież przybiera formy genialnego pojęcia — to sposób zarabkowania, to nauka, zwyczaj, który wrósł w życie całego społeczeństwa; gdyby nie miał co kraść, sobieby kradł, by zręczności nie stracić. Komisje okradają komisje, kontrole kontrole, złodziej złodziejowi opłacać się musi i stoi gmach społeczny na podstawie zbrodni i krzywdy. W ślad za zbrodnią idzie podłość,

przedstawiona w zajmującym obrazku. Przed monarchą dygnitarze Kościoła i dworu biją głębokie pokłony, przed mundurowanymi ministrami, jeneralicja czoło ku ziemi chyli w pokorze, nie ma śmiałości wznieść oczu, jenerał przed jenerałem podług stopnia, nareszcie major głęboki pokłon oddaje pułkownikowi, temuż kapitan i rotmistrz, dalej we dwoje zgięty oficerok, a na końcu tej hierarchji: świnią w udanej pokorze pokłon bije przed kozakiem, jako ostatnim przedstawicielem szczebla tej drabiny społecznej. Wszyscy po wojskowemu, zdawałoby się, że kraj ten sprężystością celuje, porządkiem, poszanowaniem władzy i prawa, uznaniem zacności, wyższości rzeczywistej. Przeciwnie, pomimo powierzchowności zupełne rozprężenie, tem straszniejsze, że na żadnej podstawie społeczeństwo oprzeć się nie może. Tam się nie pojawi kruk biały, ojczyzna to sępów dotąd i ścierwojadów, zwałałby swą śnieżną szatę wśród zbrodniczej czerni. Nie zjawi się, dopóki ogień niebieski nie wytępi zła i nie zniszczy zarodków złego, dopóki zbrodnia pokutą nie będzie wykupioną, a miłość chrześcijańska nie ogarnie tych narodów, nie zagrzeje serc uczuciem braterstwa. Krzyż dziś kirem okryty, aby go bezceństwa nie dotknęły, wzniesie się w przyszłości, błogosławiąc, lecz wtedy tylko, gdy wyznanie zbrodni będzie szczere, a pokuta odpowiednia popełnionym zbrodniom.

Kruki latają po stolicach kontynentu, kracząc przeraźliwie, truchleją słabi, ogół się trwoży, zapowiadają wszyscy burzę. Zdrada i podstęp, te cechy dra-

pieżności, podstawami narad, szczerłość starannie usunięta, nikt nikomu nie wierzy i na tych podstawach trwały sojusz zawrzeć usiłują! Ułożyliby program, gdyby nie bojaźń bez granic przed północnym krukiem, który nieraz dał się we znaki innym, a który w niebezpieczeństwie umie znaleźć niedostępną kryjówkę w lodowatych jaskiniach. Przekonani wszyscy, że w razie podziału łupu, on lwiej części żądać będzie umiał, w przyszłości wyniki siły i przewagi ciężać będą na nich piekielnym ciężarem. Równowaga — oto cel usiłowań, oto meta do której biegają, wszakże dobieść nie mogą, jak niezręczni skoczkowie równowagi znaleźć ani utrzymać nie są w stanie, niejednemu ciężar złego i krzywdy wyrządzonej waży i ciągnie go ku ziemi. Oto co cechuje położenie, co zażegnać usiłuje burzę wiszącą nad nami, jak ten dzwonek loretański; jednak zażęganą być nie może, barometry dyplomatyczne głoszą pogodę, roztaczają obrazy błękitnego horyzontu, niebo wszakże wypogodzić się nie może, wyziewy bowiem złego i szkodliwego do zbytku nagromadzone. Miljonowe armje żyjące krwią i potem ludów, niszczące wszystkie źródła bogactwa, porywające kwiat ludności, najstraszniejsze pasorzyty pracy i dorobku, dalej nie mogą być wampirami ludzkości dla pojęć panujących. *Alea jacta est.* Obraz polityczny podobny do obrazu przyrody w kanikularnej spiekocie. Cała natura jak gdyby pogrążona w ciężkiej chorobie, niemocą ogarnięta, mnoży gorączkę, udziela ją wszystkim. Matka ziemia pęka, w rozpadlinach żar, gdyby w wnętr-

nościach kipiał wulkan, wszystkie żyjątka dyszą z gorąca, pragnienie ogólne, dziwny niepokój, mimowolnie oko ku niebu ze strachem się wznosi, jak z zapytaniem, co dalej? Kwiatki listkami zasłaniają kielichy, trawki wstążeczkami chronią korzenie, które w głębi skurczone, pragną kropli wody, liście drzew zwinięte połysk tracą, gałęzie obwisły, co żyje, szuka cienia i chłodu, tego wszakże znaleźć nie może. Jedne gady, jak szatańskie rodziny, gdy wszystko cierpi, radość okazują, snując się po powierzchni, jadowitsze jak kiedy, chciwe kłanania.

Zaiste matki genjuszów i proroków już nie rodzą, ludzkość kontynentu nie kroczy naprzód, pełza po ziemi, karłowaciejąc, szuka chciwie pieniądza, nienasycona, ni duszy, ni wzroku podnieść nie ma czasu, nłe może pojąć wzniosłości, ku niej podążyć, nie ma sił i woli. Olbrzymia drabina społeczna w każdym kraju, jej szczebli nie dorachuje i żydowski rozum; biegają po niej ludzie, wspinają się i spazmatycznie trzymają się najwyższych stopni; spadają i piąć się znowu usiłują, a zbudowawszy te tytańskie prace, wszędzie i zawsze jeden motor: zysk i używanie! Każdy dla siebie, nic dla drugich; jęczą schorzałe istoty, otwarte rany o pomoc wołają, nędza i nieszczęście błagają o litość, niema nikogo z niesieniem pomocy, postęp 19 wieku zamknął się w ciasnych ramach, z których nikogo nie wypuści. Oto powód, że białych kruków niema i być nie może. Dziwny szal ruchliwości opanował ludzkość, zdawałoby się, że to mro-

wisko pracy; siła pary ogarnęła umysły; s z y b k o, oto ogólne hasło. Szczególniej spostrzegamy ten kierunek w tworzeniu majątków bez pracy i wytrwałości, istny szal ogarnął pracowników koło mamony. Ze zuchwałą namiętnością rzucają mienie na fale gry giełdowej, rodzina i przyszłość cofnąć się muszą przed porywającym prądem, resztę poświęca na los szczęścia, niepomny, że szczęście, to błogosławieństwo boże, to nagroda z niebios pochodząca, a gdy powodzenie zło pokrywa, to szatańska zasadzka groźna dla przyszłości. Wśród tego wiru, głos wyższy przebrzmiałby, niktby nie miał czasu słuchać, nikt woli i chęci wykonać. To się zmienić musi, w tym stanie ludzkość chrześcijańska pozostać nie może, ma ona wziętsze posłannictwo.

Jakiż w kraju przedstawia się obraz przed burzą? Wieszców naszych lutnie oniemiały, prorocтва zamilkły, wyższość nie góruje, przepowiednie nie sprawdzone, jedna mrzonka za drugą znika, praca spotęgowana a dotąd bezskuteczna — ofiarność gotowa — wszakże nie żądana, łza i ubóstwo w parze, w drugiej męczeństwo i odkupienie, snują się po naszej wyobraźni jak ostatnie marzenia bolesnego wiekowego snu, który skostniał i skurczył nas. Wiatr złocistego postępu zawiał u wielu z nas, porwał wiry w świat rozkoszy i używania, na chwilę nieprzytomni, porzucili obowiązki względem matki, zostali nam obcymi, lecz oni wrócą z lichwą zasiągnięty dług. Został wszakże rdzeń narodu nie zatruty, pełen zdrowych soków, rdzeń, z któ-

rego wyrośnie siła i potęga, z którego płynąć będzie balsam kojący zadane rany.

Cisza, oczekiwanie, znękanie przy pozostających siłach, badanie firmamentu z nieograniczoną ciekawością; jak astronomowie i metereologowie z oka spuścić nie mogą tych czarnych rozrzuconych chmur, które różne prądy wiatrów skupiają i rozbijają, to na zachodzie, to na wschodzie; burza się gromadzi, zażegnana, przenosi się w inną stronę, a oko ją ściga, wabi i błaga. W głębi nieszczęścia, bojaźń już nieznana, goły rozboju się nie boi, w pętach niewoli każdy środek do wolności prowadzący uśmiecha się i pieści nasz umysł i duszę. Cóż dziwnego, że ręce wyciągamy do burzy, która zwalić może to szkodliwe, co stoi, zwalić to, co nas wiekowym gniecie ciężarem!

Nie potępiamy stanu, który się ukształtował musiał i który jest ostatniem ogniwem łańcucha kajdan, niech nas ci nie potępiają, którzy nie czują naszych boleści, którzy zażegnać lub zabić usiłują nasze wspomnienia, uczucia, dążności; my trząść musimy zbutwiałym gmachem, w którym nam miejsca odmówiono. Każde żyjątko ma prawo do promieni słońca, do wypoczynku w cieniu, do chłodzącej wody, do zarobku i własności, każde ma wyznaczony kącik, w którym wolno mu żyć, ruszać się i mnożyć podług własnej woli. Przecież są parjasy europejscy, którym żyć, posiadać, mówić, modlić się prawa zaprzeczono. Genjusze za życia, potępieńcy po śmierci; zawołali: zniszczyć naród, jak zawołał Neron, zniszczyć chrze-

ścijaństwo i cóż się stało? Męczeństwo stworzyło nieznana siłę, niszczenie wywołało odrodzenie.

Prześladowaniem kręcono bicze, które dziś niepokoją i chłostać będą wiek na schyłku; w całej Europie widma stoją gotowe nurzać się z rozkoszą w burzy, uzbrojone do odwetu jak z grobu powstałe, straszą i dziwią, że jeszcze przy życiu. «Zło bywa gorzem karane». Zasialiście ziarno, wyrodziło się w truciznę, chcielibyście siew zmienić, bo wam grozi, lecz zapóźno, niwa okwitła, plon się gotuje. Poświęcenie, ofiarność, porzucenie rodziny i mienia, zaparcie siebie i rycerskość, skromność i cnota, miłość i gorąca wiara, oto materiały stojące niegdyś do naszego rozporządzenia. Czy nasza w tem wina, że się cnoty w zbrodnicze zamiary przemieniły, że katusze i bezmiłosierne prześladowanie aniołów na szatanów przeistoczyły, pałających dziś zemstą, gotowych do walki każdą bronią? Zaiste jest jeszcze jeden upominek piekieł, który po odrodzeniu naszemu społeczeństwu w udziale przypadnie, jakoby pamiątka strasznej przeszłości. Ileż to ofiar, ileż miłości i pobłażania potrzeba będzie, aby zagoić te jadowite rany, otrzeć te łzy, wzmocnić tę niemoc, zniszczyć te zapasy żółci, zaszczerpić pojęcie braterstwa, rodziny, organizacji społecznej, przywiązać do siedziby i zabezpieczyć potrzeby. Długie lata miną, a nasz triumfalny wóz tłuc i łamać się będzie o te kamienie na naszej drodze, stwardniałe do granitu upłynionym czasem. I to musiało być w wyrokach Opatrzności, więc przyjąć mamy duchem

ekspjacji. Wyglądamy burzy, coś dziwnego, nam upał skwarliwie dopiekl, może się nad nami zgromadzi, czego chroń Boże w naszym rozstroju, a może też miarka napełniona i burza zagrzi i niszczyć będzie wokoło, nam zaś przyniesie odrodzenie. Każde przecie cierpienie ma swój koniec, każda ofiara swą nagrodę, jeżeli wieszcz germański prawdę mówi. Stan oczekiwania, nieokreślona tęsknota, wzrastająca nadzieja, która ginie, aby się powtarzać, chłód i ciepło, trwoga i wiara, boleść pociechą przeplatana, oto stan obecny. Mimowoli szuka się okiem białego ptaka, który lotem nowe określi granice, do walki powoła, na sztandarach usiądzie, zabezpieczy władzę, bronić będzie swobód. Skąd i kiedy nadleci, nikt przewidzieć nie może, lecz są epoki dla ludów, w których genjusz pojawić się musi!

Kruk krukowi oka nie wykłuje.

Na drodze postępu 19 wieku, o to przysłowie co krok potracamy, raniąc się boleśnie, tracąc zaufanie, tworząc z podejrzliwości bussolę, kierującą w życiu. Kruk krukowi oka nie wykłuje, szkodziliby sobie wzajemnie żyjąc z cudzej własności — wraca nas to przysłowie do pierwszych wieków, kiedy w Sparcie uczono młodzież zręczności w kradzieży i karano srogo niezgrabnych, na uczynku złapanych. Rozum przejął się duchem czasu, kuszony ustawicznie widokiem tworzonych olbrzymich majątków, nie mając innych źródeł i środków, potęguje swe siły, aby się odznaczyć w spartańskim zawodzie. W wyższych złoci-

stych sferach, kruki się szanują wzajemnie i wspierają, przysłowie towarzyszy administracji i intendaturze. Temida się przed nim już nie wzdryga. Nie patrz na palce magazynier intendantowi, liwerant nikomu, koncesjonariusz moco dawcy, dozorca nadzorcy, kontrola kontroli, kasjer manipulantowi, schodzi przysłowie do biur kancelarji, fabryk i banków, administracji i gospodarstwa, wszędzie powtarzamy «kruk krukowi oka nie wykłuje». Rozum zręcznością kierowany, giętki, przebiegły, rachunkowy, zna kodeks i jak żeglarz niebezpieczne skały, umie w każdym czasie omijać szkodliwe zapory. Rząd i przedsiębiorcy przekonawszy się o prawdzie przysłowia, kosztownymi kontrolami zabezpieczają się, miliony trwonione w każdym kraju, a przecie kruk krukowi oka nie wykłua.

Stowarzyszają się kruki zręczne a chciwe, aby korzystać z niewiadomości ludzi, częstokroć w imieniu braterstwa i niesienia pomocy, niemiłosiernie obdzierają drugich; odziane w szaty poświęcenia, jak kuszące wróżki ciągną ku sobie, sypią obietnice, przedstawiają porywające obrazy; coś dziwnego, że mienie i dorobek dąży ku nim.

Chciwość, ta córa wieku, opanowała większość ludzi: w znacznej części stowarzyszają się w celach takich jak wilki i kruki. Wszystko się to dzieje w imię postępu, człowiek dumny, że kroczy naprzód, nauczysz się katechizmu spisanego dla finansowego świata, zapewniającego używanie przy bezkarności. Świat ten odrębny, ma swój zakon jak ongi Ceutronów,

żyjących z rabunku, przystęp ma tylko zdolność, zręczność i odwaga; w tej specjalności zdawałoby się, że wstęp utrudniony, a skład odstrasżający, wszakże ze smutkiem wyznać musimy, że złociste bramy tego gmachu dziwnie pociągają do siebie; nieświadomy ogół słucha jak dziecko niańki prawiącej mu historję z tyśiącą i jednej i nocy, o skarbach do nabycia łatwych, i często jak ćma swe skrzydła, tak on mienie traci. Jak siła parą spotężniała, tak spotężniała gra w naszym wieku, już to nie zabawka i rozrywka króla na pomieszanie zmysłów cierpiącego, lecz gra o życie, o los rodziny, o przyszłość stanowiska; gra stała się walką, stała się potrzebą dla zużytych i skamieniałych ludzi. Nieszczęśliwy ten, który nieświadomy tajników stowarzyszeń, rzuci się między uczestników, nie mając na pamięci przysłowia: kruk krukowi oka nie wykłuje.

W każdej okolicy naszego kraju od niepamiętnych czasów, napotykamy gadki ludowe i przysłowia o kuku: w poezjach napotykamy go, co dowodzi, jakie znaczenie przypisywano temu ptakowi.

Kruk gdy kracze, oznacza niepogodę, gdy do słońca grzeje pierze, stałą pogodę.

Trudniej o dobrą żonę, niż o białego kuka.

Wronami go karmiono, a krucy go zjedzą.

Pochlebcy zbiegają się do tych, gdzie czują co wziąć, jak kuki do ścierwa.

Kruk z rodu złodziej.

Będzie on wnet kuki pał swem ścierwem i t. d.

Możnaby przysłowiami arkusze zapełnić. Nietylko w naszym kraju, lecz w Europie całej przysłowia w pamięci się przechowują. Rzymianie i Grecy przypisywali wpływ i znaczenie tym ptakom i augurowie studjowali ich obyczaje.

Bajkopisarzom służył za temat; wszakże w naszym wieku nie napotkamy kuka, któryby się dał lisowi oszukać i dla kadzidła i pochlebstwa stracił swą zdobycz. Kruk zawsze był mądrym, myślącym, poważnym i chytrym ptakiem, niełatwo się dał oszukać; z postępem czasu spotężniały zalety jego, pomimo wynalazku prochu, odtylcówek i lankastrówek, żywi się, żyje, niepospolite szkody wyrządza, urąga prześladowaniom, góruje rozumem nad człowiekiem, utrzymuje ród swój pomimo jego woli,

Kruk Kazimierza Brodzińskiego w serbskich pieśniach, nosi znamię prawdziwe: gdy ze skrwawionemi dziobami i szponami lecą kuki od tureckiej ziemi i Kulinie donoszą, że mężowi na brzegach Miszaru oczy wyjadły.

W zapasach z półksiężcem, na odludnych wędrówkach, gdy za wiarę krocie walecznych rycerzy ginęło, stając się po śmierci pastwą drapieżności:

•My im oczy wyjedli, słodką krew wyssali,

•Pod murami ich szczątki słońce teraz spali».

Oto obraz polskiego rycerstwa w walkach z poganami.

Ktoż nie zna obrazku o kruku Władysława Syromli, piewcy naszych łez i niedoli, z którym płaczemy nad przeszłością i teraźniejszością, z którym hartujemy dusze do wytrwałości, napawając się nadzieją bliską urzeczywistnienia. Bój krwawy, rzeki zarumieniły się krwią, leżą odarte z odzieży ciała męczenników za wolność i wiarę, słabszy pokonany, silniejszy całym ciężarem zwycięstwa gniecie zwyciężonego, pastwiąc się w okrucieństwie. Lud okoliczny ukradkiem grzebie powstańców, wszakże podołać nie może, tak mnoga ich liczba, część walecznych szarpana drapieżnością, niektórych ciała w cząstkach rozrzucone. Wieśniacy odganiają natrętne ptactwo, pragną odłączone części do ziemi schować; na wzgórzu nad pobojuwiskiem siedzi czarnopióry kruk i trzyma białą rękę w dzióbie; biegną i zdobywają rycerską dłoń, spostrzegają złocisty pierścień na palcu, dopytują nosząc po okolicy tę relikwię, wszakże nikt właściciela poznać nie może. Nareszcie w jednym dworku epizod tragiczny się odbywa: przed dwór wybiega rodzina, z przejęciem patrzy na rękę, łza w każdym oku, niepokój w sercach. Niebawem wysuwa się postać żałobna, wzrok obłąkany na rękę rzuca, wołając: «to pierścień mych zaręczyn, ja mu go dałam», i pada nieżywa. Przybył jeden nieśmiertelnik na polskim cmentarzu.

Kruk towarzyszy naszym zapasom, przymusowym wędrownikom, szarpie opuszczone ciała, bez opieki i pomocy będące, siada na mogiłach i pomnikach,

bryłką ziemi lub kamieniem oznaczonych, (nam nie wolno pomnikiem przekazywać potomności imion z czyimi poległymi); grzebie ziemię pazurami, z chciwością pragnąc odkryć resztki trupów. Towarzysz burzy, straszyłem jest małodusznych, obraz złej wróżby, przedstawiciel grobu, żałoby, czarny ptak snuje się po każdej wyobraźni, zawsze i wszędzie szkodliwe wywierając wrażenie. Mógłby na nagrobkach być przedstawiony, jako wspomnienie tej wiekotrwałej męki.

VI

Gniezdzenie kruka, jego gody i zwyczaje w tym czasie odróżniają się tak bardzo od innych ptaków w najdrobniejszych nawet szczegółach, że warte osobnego obrazu i właściwej monografji; mało badane, a zatem mało znane, już dla nieprzystępnych miejsc w których się gnieźdzą, już dla śniegów rozmokniętych lub zimnych deszczów. Ku końcowi lutego i na początku marca głośnie krakanie kruków w powietrzu — siedząc bowiem innego używają głosu — zapowiada krucze gody. Cała przyroda jeszcze martwa, w śnie zimowym po-grążona, zwierzęta dzikie długą wygłodzone zimą, ptactwo, trudnością wynalezienia dostatecznego pożywienia zmęczone, wszystkie żyjątka smutne jak na przednowku. Zaiste ta polska wiosna, to srogi co roku powtarzający się przednowek; głodzi i ziębi nietylko leniwego i niedbałego człowieka, lecz wszystkie żyjątka niespoczywające w sennej martwocie, lub też nie zimujące w cieplejszych krajach. Słońce chociaż zawita, to wnet spłoszone czarnymi chmurami, sypiącemi szmaty śniegu lub lodowate krople, chowa się i wstydzi brudnego obrazu jaki świat przedstawia; starcy zwykle

wtedy schodzą do grobu, schorzali bezwładnieją, dziatwa dziesiątkowana, szkoły zakatarzone, kaszel opanował młodzież, wszyscy cierpią, wszyscy tęsknią. Słońce promieniami budzi życie, mroźne powietrze śmierć zadaje, dnie ciepłe, noce zimne, a wiatr jakgdyby wszystkie miechy z całego świata zebrał, dmie na kraj nasz bezustannie, jakgdyby nas chciał nadąć w kształcie pęcherzy; błoto ze śniegiem, wody i lody; co się ruszy, zwalić się musi.

Gdyby młodziana wywożono w innych porach roku a zostawiono u nas na kalendarzową wiosnę, odrzekłby się uczucia dla kraju, znieśćby nie mógł tych zmian przykrzejszych jedna od drugiej. W tym czasie, co nie pod dachem ogrzanym, nie marzy o miłości, zimno zejść się z nią nie może. Krzywodzióby (*Loxia*, krzywonos), niektóre gatunki sów z puszystem pierzem i białogrzbietny dzięcioł, oto konkurencji gotowi do zaślubin. Wszakże zachodzi wielka różnica między temi ptakami a kukiem; krzywodzióby w ciemnych szpilkowych, nieprzystępnych lasach, cieszą się ciepłem towarzyszącem każdemu zaciszu, mają obfitość pożywienia, wiszącego w szyszkach nad niemi. Sowy z mszystym puchem, mają jak futrem podbite pierze, kryją się po dziurach drzew i rozpadlinach skał. Dzięcioł wykuwszy sobie bezpieczne dziupło, które według potrzeby jak cieśla zgłębia, od zimna się chroni, te ptaki zabezpieczają się przed mroźnymi wiatrami i śnieżycami. Kruk gardzi ciepłem schronieniem, urąga wichrom, szydzi z polskiej wiosny, niby zahartowany

Grenlandczyk, wśród ostrego powietrza, palony ogniem wewnętrznym, woła samicę i porę lęgu głośno. Smutny i poważny, w godowym czasie nie zmienia stroju; zdawałoby się, że w pieszczotach uniesie się, rozweseli. Bynajmniej — obraz wyrzutów, smutek mnicha pieszczącego czarną zakonnice, jakgdyby rozbudzone sumienie, uniemożliwiało używanie rozkoszy. Przypuściwszy wędrówkę dusz, widzimy w krukach pokutujące dusze, szalone w rozpuszczeniu za życia, niepowściągnięte w wesołości, upojone szalem nieopuszczającym do śmierci, tarzające się w swawoli. Nieraz godzinami z kryjówki patrzałem na wesela kruków przy gnieździe: dopięli celu, pobrali się, a przecie smutne zostały, jak gdyby przemówić chciały: Nam nie wolno rozkoszy życia używać.

Przypomina mi to mego profesora Niemca, który mawiał do żony: nie dla rozkoszy, lecz dla obowiązku. W krukach pali jakiś skryty ogień; zimno i mokro, im za gorąco; spostrzegamy w tej porze roku w której wszyscy grzać się pragną, nikt zaś chłodzić, iż kruki kąpią się w każdej wodzie od mrozu opuszczonej, pławiają brzuchy, moczą piersi. Kruk chciwy lodowatej kąpieli, nawet krukowa opuszcza jaja i leci chłodzić ciało, istny piekielny ciepłak w złowrogim ptaku.

Rok cały trwają w pozyciu małżeńskim; kruki nie potrzebują szukać samiczek, u nich walk o żonę nie spostrzegamy, jedynie kruki jednoroczne zdobywają sobie towarzyszek na całe życie. Nie obchodzi się i w tym gatunku bez pojedynków i zapasów, lecz

odbywają te rywalizacje z podziwienia godną powagą i w skrytości, jakgdyby te familijne niesnaski ukryć chciały przed niedyskretnymi świadkami.

Gdy dzień się zupełnie rozjaśni, zakraka kruk w powietrzu, woła do tańca krukową; zjawia się ona po chwili, krakają w duet, tocząc koła w powietrzu. To jedno, to drugie góruje i pławi się w powietrzu, podlatuje i znowu wznosi, wtórując ustawicznie chrypliwym głosem; przez długie godziny stykają się w powietrzu i rozłączają, nareszcie szybkim lotem po odbytem powietrznym tokowaniu, lecą na obrane i wyrestaurowane gniazdo. Nie płoszone i nie zdradzane, całe życie używają tego samego gniazda, w potrzebie znoszą się na gniazda ptaków drapieżnych, a w ostatecznym razie i wronie biorą w dzierżawę. Trudności nie napotykają z powodu, że w tej jeszcze zimowej porze żadne gniazdo nie jest opanowaniem przez kogo innego, rzadko kiedy ścielą od fundamentów małżeńskie łoża.

Obrawszy gniazdo lub powróciwszy na własne dawne, starannie restaurują, gałązkami okalają, a gdy już samica osiadzie na jajach, jeszcze samiec majstruje i potrzebny materiał donosi i wplata do krawędzi; ona zaś ciałem okrągłe wygniata łożo. Pomimo, że w tak nader wczesnej porze się gnieździ, drugiego zniesienia nie spostrzegłem nigdy, zdawałoby się, że za ciepła dla nich późniejsza temperatura. Niektórzy twierdzą, że bywają kruczęta ku końcu kwietnia, a zatem z powtórnego zniesienia, bywa to jednak potomstwo po młodej

parce, gdyż młode parki każdego gatunku później się do gnieźdzenia zabierają. Kruk w naszym kraju z pewnością raz jeden na rok się gnieździ i to łaska Boża; gdyby to często powtarzał, okradłby nas do szczeru. Sam własne gniazda ściele na najwyższych gładkich drzewach, najczęściej niedostępnych, na skalnych urwiskach i na opuszczonych wieżach, jedynie w nagłej potrzebie zmuszony opanowuje gniazda myszołowów, wron i t. d. Wtedy z większą łatwością do gniazda dopiąć się można. Gdy parce zaraz po zniesieniu jaja są zabrane, wtedy powtórnie znosi, wyszukawszy wszakże bezpieczniejsze schronienie.

Gniazdo na wierzchołku drzewa, wszakże w koronie przy pniu, na oddalonym konarze nigdy go nie widywałem; do miodowych tygodni wyszukuje najodleglejszych okolic i nie cierpi w sąsiedztwie hałaśliwych wron, któreby jego gniazdo zdradzić mogły, prześladowuje je i odgania. Ostrożność posunięta do najwyższego stopnia w tej porze; w odludnej okolicy często złodziej pożywienia nie znajduje, zbliżyć się musi do mieszkań i wsi, wszakże aby nie wypatrzone gniazda, czasem milę i dalej na żer leci i z każdym kawałkiem do gniazda powraca, co powtarza kilkakrotnie w jednym dniu. Można sobie to wystawić jaka to praca, jakie wysilenie. Prześladowanie i instynkt zachowawczy to nakazują; zdarza się, że niesie znaczniejszy łup, stanowiący zbyt ciężar, więc siada i odpoczywa, znowu się zrywa i powtarza kilka razy odpoczywanie, ziejąc i dysząc ze zmęczenia, co go nie

zniechęca. Wszakże do tej bezprzykładnej pracy, nie tylko w porze donoszenia samiczce pożywienia, lecz później w czasie żywienia krucząt, co bywa niepospolitem zadaniem przy ich żarłoczności niedoopisania. Najostrożniejszych drapieżnych ptaków wypatrywałem gniazda, przy donoszeniu żeru, jest to najłatwiejszy sposób odkrycia; nigdy nie mogłem kruka ścigać okiem do swego lęgowego mieszkania dążącego; rzeczywiście podziwiać można przezorność, odwagę i wytrwałość tych ptaków.

W środku gniazda postanie z włosia, szczeciny i mchu, rzadko kiedy z pierza i wełny, ściany gdzieś niegdzie ziemią i gliną zalepione, jak gdyby chronić miały samiczkę wysiadującą od wiatrów i zimna. Spodziewamy także różnobarwne szmatki; trudno wprowadzić wyżywić samiczkę, wszakże złodziej i w tej ciężkiej pracy o swym zawodzie nie zapomina. Co napotka kosztowności lub błyszczących monet znosi, jak gdyby żonę skarbami obdarzyć pragnął. W niejednym gnieździe znajdowano kosztowne pierścienie, złote pieniądze i srebrne kosztowności, ułożone na krawędzi gniazda; zupełny obraz chciwej i nienasyconej żony, pragnącej widoku bogactwa i zmuszającej męża do dostarczania jej zbytków, nie przebieając w środkach.

Owe to kradzieże przechowane i odkrywane później, stworzyły gadki o skarbach do zdobycia w kruczych gniazdach, po wszystkich niemal krajach rozpowszechnionych; bywały one często powodem przygód i kalectw licznych dla zdobywców. Kruki wy-

bierają najgładsze pnie, wiedząc, że są nieprzystępne, dlatego ulubione drzewa są szpilkowe, nie tylko że pnie i dla majtka nieprzystępne, lecz jeszcze, że szpilkowe gałęzie chronią i zakrywają gniazda. Wybierają jak najwyższe, zdarzało mi się nieraz, że ci sami chłopcy, którzy dla mnie orle wybierali jaja, nie mieli śmiałości drapać się do kruczego zniesienia; bywały gniazda tak wysoko, że śrut ledwie o gałązki drzewa uderzał. Znając spustoszenie jakie sprawiają kruki, gdy nie mogłem rodziców zabić, jaj zabrać i piskląt, starałem się w gnieździe zarodki rabusiów zniszczyć; rzadko kiedy mi się zemsta powiodła, broń nasza za słabą była na odległość i budowę gniazda.

Można śmiało stwierdzić, że w gatunku tych ptaków góruje ostrożność nad przywiązaniem do dzieci; nigdy życia nie narażają, a zdarza się, że głodem pisklęta umorzą, gdy spostrzegą czatujących ludzi. Nawiedzane gniazda powodują czasem samicę do opuszczenia jaj. Samiec ostrzega samicę o niebezpieczeństwie krakaniem mrukliwym; ona czujnie siedzi na jajach i przy najmniejszym szeleście podnosi się i rekognoskuje. A gdy uzna, że dowierzać nie można, cicho się wynosi i zawczasu ulatuje; krąży nad gniazdem w znacznej wysokości i nie powróci, dopóki zupełna cisza nie nastanie i ludzie nie odejdą. To oddalenie od od zniesienia trwa czasem i kilka godzin; bywa tak długie, że jaja zupełnie zastygną i wtedy zmuszoną bywa je opuścić.

Zdarza się znowu, że niepostrzeżenie w czasie niebytności samca podejść gniazdo; krukowa się zadrzemie, lub w zadumę zapadnie, wtedy objawszy z rzadką przytomnością natychmiast sytuację, że ucieczka niebezpieczna, kamieniem waruje w gnieździe, udając że jej niema. Można w pień pukać i strzelać, ona się nie ruszy. Zdarza się, że wszyscy moi towarzysze uznali, że krukowej być nie może, a gdy dostano się aż do gniazda, wtedy pędem błyskawicy ulatywała. Te napozór drobne szczegóły dowodzą wszakże rozumowanej myśli, pamięci i przytomności umysłu, dalsze spostrzeżenia jeszcze dobitniejszych dowodów dostarczają.

Jaj jest 4 do 5-ciu oliwkowo-zielonych, podługowatego owalu, szaro i brunatno nakrapianych, na 2 cale długie, tło bywa ciemniejsze i jaśniejsze, niektóre jaja mało nakrapiane, inne zupełnie upstrzone, wydmuchane. Do światła są zieloności morza, mocno porowate i wcale niegładkie, w stosunku do wielkości ptaka są nader małe, nie wiele się różnią od jaj wrony.

Samica pilnie na jajach siedzi i bywa przez samca z przykłądną akuracnością żywiona; w tym czasie daje on dowody rzadkiej wytrwałości i poświęcenia. Od rana do wieczora zdobycz przynosi, gdy głód zaspokojoy, siada w bliskości gniazda, strzeże żonki, którą w południowych godzinach na jajach zastępuje. Krukowa dobrze w połogu żywiona, nie leci za żerem, lecz buja po powietrzu, leci się kąpać, a wzmocniwszy się, powraca do obowiązków. Pisklęta, to istne płody czarta, głowy i dzioby nieproporcjonalnie duże, szare tęcze

mchem czarniawym obrosłe, obrzydliwe stworzenia, od pierwszych dni rzadkiej siły i żywotności. Żarłoczne i nienasycone, ustawicznie dopominają się pokarmu i tu rodzice dowody rzadkie poświęcenia okazują. Pierwsze pożywienie stanowią owady a przede wszystkim glisty, później inne drobne ssaki i ptaszęta, które na gnieździe rodzice rozszarpują i kawałkami dziatwę dzielą. Kruczątko bywa prawie zawsze zaniedbane; późniejsze, kopciuszek prawdziwy, który o kilka dni później gniazdo opuszcza, bywa straszliwie przez rodzeństwo krzywdzony; wtedy gdy już przyniesioną karmę kruczęta same pożywają, trzeba całej uwagi starszych kruków, aby biedactwo nie było zgłodzone, lub z gniazda wyrzucone. Przemysł kruków w chwili, gdy pisklęta dorastające ogromnie pożywienia wymagają, jest zdumiewający: owadów, robaków, myszy, ślimaków, piskląt, zajączków znoszą w obfitości; podziwiać musimy zręczność w łowieniu takiej ilości żyjątek różnego rodzaju. Żer drobniejszy mieszczą w gardzieli, którą do tego stopnia zapęniają, że gula sterczy pod dzióbem; większe stworzenia donoszą w dziobie i w szponach.

Trzeba obserwować parę gnieźdzących się kruków, aby objąć ogrom wyrządzanej szkody w ptactwie i w ssakach; trzeba kilka razy policzyć szczątki donoszonego pożywienia.

Gdy kruczęta podrastają, wrony mają już jaja, a niektóre już wykłute pisklęta; otóż w głodzie kruki wypijają im jaja i zabierają dzieci. Gdy tylko w lasku kruk się pokaże, ostrzegają się wrony i samce jako

awangarda rzucają się z hałaśliwym krzykiem na rabusia, biją dzióbem i pazurami, a gdy odpędzić nie zdołają i spostrzegą wzmagające się niebezpieczeństwo, wołają na żony siedzące na jajach i ta rezerwa napastnika do ucieczki zmusza. Towarzyszą mu daleko i gdy zwycięstwo zapewnione, wracają, obsiadają jedno drzewo, krakają wspólnie, odbywając naradę. Po chwili wracają do swych zatrudnień, zostawiając wszakże wedety, złożone z samców bezżennych. Najczęściej kruki z ogromnej wysokości rekognoskują zniesienia wron, a gdy już upatrzą gniazdo, na które uderzyć warto, chyłkiem zakradają się i zdradziecko porywają pisklęta. Wszczyna się wrzawa i alarm niedoopisania w obozie wron, wszakże najczęściej podstępny złodziej, zdoła ze swą zdobyczą uciec, lub też zaduszoną puszcza na ziemię, przyczem niejedno pióro straci, draśnięcie oberwie, czasem i ranę otrzyma, wszakże go to nie poprawia. Pokusa zbyt wielka w gromadnie gnieźdzących się wronach do zaniedbania swych niebezpiecznych napaści. Widok ten do tego stopnia zajmujący, że godzinami przypatrzeć się można, podziwiać chytryść, odwagę i zdradziecki podstęp kruków, solidarność i gotowość wron w bronieniu swych siedzib.

Przed napadem udaje zniechęconego, tchórzem podszytego, ucieka co może, daje za wygraną, wrony uspokojone powracają; zanim się spostrzegły, już znowu wpadł jak piorun, porwał wroniątko i wzbił się ku obłokom. Bezpieczny przed pogonią siada zdrajca w oddaleniu, czy to skryty za bryłą lub kamieniem, czy

pod pniem i ponad ziemią leżąc, dopiero przy samym lesie wznosi się i napada, wiedząc, że go wrony z góry oczekują. Jak prawdziwy smakosz wypija miękkie jajka wprowadzie bez grzaneczek, lecz jedno po drugim, gdy ma czas po temu; nie potrzebuje kieliszka, ani łyżeczki, wbija dziób w jajo, przechyla głowę w tył, i wypija smaczny płyn. Często się zdarza, że spłoszony nie ma czasu porzucić śniadania i odlatuje z jajem na dziób. Dnia jednego w Brzeżańskim, w lasku, gdzie się wiele kaczek gnieździło, kruk spędziwszy krzyżówkę z gniazda, wbił dziób w jajo. Wtem wrony spostrzegły rabusia, uderzają na niego z taką natarczywością, że kruk przytomność traci i leci wprost na mnie z jajem w dziób. Moje zadziwienie było niesłychane, nie mogłem rozpoznać co by to było, jajo bowiem całą głowę zakrywało. Strzeliłem i kruk postrzelony, zwolna zlatywać począł ku ziemi; podniosłem ptaka i jajo do połowy wypite.

Ślimaki łuszczy jak ostrygojad i miękosz wyjada lub pisklętom donosi; pilnie gniazda rewiduje i rabuje ptaszęta, szczególnie krukowa w porze lęgu jest niebezpieczną napastnicą i naraża się na niebezpieczeństwo, aby swą żarłoczną działość nasycić.

Skąd biorą rybki, jak je łowią, odgadnąć nie mogę, wszakże resztki niemal przy każdym gnieździe spostrzedz można.

Jest to ulubiony przysmaczek kruków. Jak to już wspomniałem, po burzy, lub po wylewie rzek, przy

spustach stawów pilnie za rybami szukają, nawet wchodzi po kolana do wody i łapia je.

Praca niezmordowana w donoszeniu pożywienia dzieciom dowodziłaby wielkiego poświęcenia i przywiązania, wszakże ostrożność góruje nad temi uczuciami. Jak tylko spostrzeże, że gniazdo jest nawiedzane przez człowieka, gotów zagłodzić pisklęta, a nie przynieść pożywienia. Stawiano budki, szafasy, chowano się najstaranniej, nic kruka oszukać nie mogło.

Miałem w lesie parę kruków, niepospolitych szkodników, a że w bliskości były kuropatwy, pragnąłem zabić obadwa. Siedziałem godzinami, gdy odchodziłem, strzelec mnie zastępował, a kruki nad lasem górowały, jednak się nigdy na strzał nie zbliżały, w nocy musiały z gotowym żerem przylatywać. Wszakże po tygodniu odstąpiły młode, które z głodu zginąć musiały, o czym się również przekonać nie mogłem dla wysokości drzewa. Inną parkę w ten sam sposób prześladowałem. Po trzech dniach rodzice przenieśli na inne gniazdo, o 300 sążni odległe, już dosyć dorosłe kruczęta.

Gdy się uda młode zabrać, rodzice towarzyszą, krakając do ostatniej chwili, jak gdyby przekonać się chciały, co się z dziećmi stanie, zawsze jednak z nieprzystępnej wysokości. Gdy innym parkom zabieramy ptaszęta i zostawimy je w odludnem miejscu, rodzice im pożywienie donosić będą; kruki wszakże wietrząc wszędzie zasadzkę, odwiedzać będą kwilące kruczęta, lecz pożywienia im nie doniosą. Czystość i porządek

młodych od narodzenia za przykład służyć może. Pomimo żarłoczności, gniazdo zupełnie czyste; po łajnach wapnistych na koronach i na ziemi łatwo gniazdo odkryć; tak są palące, że trawa nie rośnie, a często gałąź uschnie. Ze stanowiska nawet leśnej kultury przesładować kruki wypada.

Po kilku tygodniach już kruczęta pierzem okryte, miejsca w gnieździe znaleźć nie mogą, siadają na krawędzi, a najodważniejsze na najbliższych konarach. Rodzice głodem je zmuszają do lotu, przeganiają z drzewa na drzewo, coraz dalej, nareszcie namawiają do polotu; dzieje się to przy wschodzie słońca dla bezpieczeństwa; w dzień rodzina powraca na gniazdo i kruczęta tamże zostają. Pomimo, że latają, same pożywienia nie szukają; zupełnie jak młode wrony zachowują się kruki, biegają za rodzicami, trzęsą skrzydłami, kwilą, dopominają się jedzenia. Tu znowu rozum i roztropność rodziców podziwiać muszę, dziatwę z miękkimi jeszcze dziobami i słabymi jeszcze pazurami, prowadzą na łąki i role, wskazują żabki, ślimaki, glisty i żuki, uczą łapać i pożerać, później myszy, krety, zajączki młode, ziemne pieski (skrzeczki) i t. d. Niebawem młode rabusie zasmakują w awanturczym życiu i dzień cały przebywa rodzina na łowach. Już się nie rozdzielają, żyją w pobliżu, gotowi na każde wezwanie kupić się do napadu, interesem solidarnie złączeni, donoszą sobie o ponętnych przysmaczkach, o ofiarach do zabicia, o odkrytych ścierwach i t. d. Rodzice długi czas młodzi z oka nie spuszczaają, uczą

ostrożności, przestrzegają niedoświadczonych, wskazują niebezpieczeństwa. Cóż dziwnego, że pod takim znakomitem przewodnictwem już przed zimą młode kruki wydoskonalonymi rabusiami się stają; pojęły doniosłość podstępu i chytrłości, nauczyły się przebiegłości i odwagi, o ile konieczność jej wymaga, zdradą bowiem łup bezpieczniejszy. Gdzie odkryły stado kuropatw, już ich z oka nie spuszcza i z pewnością zniszczonem będzie, jeżeli kohot w bezpieczne miejsce nie przeprowadzi w nocy kuropatw, gdy kruki jeszcze w lesie spoczywają. Spostrzegłszy zniesienie zajęcy, zwołują się kruki i pewnie pożrą zajączki jak soczyste kluski. Pilnują kurcząt, gąsiąt i jeżeli tylko bezpieczeństwo dozwoli, z pewnością wybiorą wszystkie w kilku dniach.

Chudy całe życie jak potępieniec lub chłop polski; czy w jesieni, czy w zimie, bryłki tłuszczu na kuku nie znajdziesz, trawi go jakiś ogień piekielny; pomimo swej żarłoczności i podziwienia godnej zrzeczności ku zaspokojeniu swych potrzeb, czy młode, czy stare, pozostają chudemi. Mięso czarne, żylaste i twarde nie do spożycia, nawet młode ledwie, najbardziej zgłodniały, spożyć może.

Mówiłem, że jak chłop polski chudy, jest to spostrzeżenie zasługujące na ściślejsze badanie. Kto widział w życiu otyłego naszego chłopca, w jakiejkolwiek części naszej ojczyzny? Zagranicą wieśniak się zaokrągla, kolonista nasz brzuszkiem zapuszcza w podszłym wieku, żydźisko najczęściej żyjące żywotem anachorety, na śledziu i czosnku utyje, czemuż jeden chłop

zawsze chudy? Myśl go nie męczy, nie trawi, najlepszy dowód, że gdy nie je, nie pije lub nie pracuje, zasypia zaraz, — zbyteczna praca go z pewnością nie niszczy, namiętności nim nie miotają, miłość limfatyczna, straty do szaleństwa nie prowadzą, uczucia rodzicielskie go nie szarpią, chciwość nie minuje, zemsta nie trawi, a przecież podpaść się nie może.

Widzimy parobków, którzy dla jedzenia żyją i służą, opychających się do pęknięcia, z brzuchami niemal połogi obiecującymi, zawsze chłop chudy, ciężki, żyłasty i kościsty. Czy brak mięsnego pożywienia, czy nadużycie alkoholyczne wódki, czy sposób żywienia się, odgadnąć przyczyn nie umiem, zapisuję tu fakt, że zawsze jak kruk chudym jest i szkodnikiem na podobieństwo jego.

Zakończę życiorys kruka wyciągiem z myślistwa ptasiego, dziełka z 16 wieku, w którym autor takie cztery wiersze krukowi poświęca; trafny wizerunek złowrogiego ptaka:

Czarny ptak i lepiej plugawy,
Bo ścierwy sprosne, są jego potrawy.
Kracząc strasznie nad domy latają,
Kiedy się ludzie szkody spodziewają.



222653/7